

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odosłanie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub., na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub. na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

Adres Redakcji: WARSZAWA, ZGODA № 1.

FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 9 i 10 z dnia 10 marca 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezdz. do pracy
Filia d'a Kr. P. Marszałk. 136

9-85 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Wydawnictwo Tow. Akc.

S. ORGELBRANDA S-ów

Encyklopedia Handlowa

2 tomy

15028

Opr. rb. 20.

Wskutek bezrobocia drukarskiego nie mogliśmy wydać „Świata” we właściwym czasie. Obecnie, przystępując do pracy wydajemy numer powiększony. Następny numer również powiększony wyjdzie już w czasie właściwym.

NOCNY ATAK.

Dzień 6-go listopada miał się ku końcowi. Rozwlekłe, szare chmury przysłoniły już od południa niebo, a na niebie słońce, tak, że teraz spostrzedz się nie dało, kiedy skończyło swą drogę i za lasem zapadło. Po szarej godzinie przyszedł szybko zmrok, a za nim noc ciemna. Mgły powstawały z bagnisk i pelzając powoli, osłoniły stanowiska wedet, przeszły przez świeżo wykopane rowy strzeleckie i cisnęły się ławą między chałupy wsi, leżącej w tyle.

We wsi tej stanęły treny bojowe i polowe szpitale. W jednym z nich dr. S., wiecznie zgarbiony, jakby pod ciężarem swego olbrzymiego wzrostu, kończył właśnie badanie chorych i rannych, którzy pod osłoną mroku mogli się dopiero wycofać z linii przednich stanowisk, odległych od pozycji rosyjskich o niespełna 200 kroków. Większość chorych jechała już na wozach do pobliskiej stacji kolejowej; w chacie pozostało tylko kilku ciężiej rannych, w ich liczbie dwóch tego dnia wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich. Późnym wieczorem nadszedł jeszcze gość nowy. Był nim podpor. T., który zmęczony silną gorączką zszedł

dopiero co z pozycji i na noc we wsi pozostał.

Od sąsiedniej zagrody dochodził łomot nieustanny siekier, rąbających drzewo. To oddział pionierski podpor. L. pracował przy pochodniach nad składaniem „koźłów hiszpańskich” i obwijaniem ich drutem kolczastym.

Robota była to pilna, gdyż z frontu domagano się usilnie zastawienia przeszkód jeszcze tej nocy. To też pionierzy, nie zważając na zmęczenie, pracowali żwawo. Dwie kompanie rezerwy, przesunięte na noc bardziej w tył, więc aż do wsi, pomagały na ochotnika w tej robotcie.

Od wsi do okopów ciągnął się kręty rów aproszowy, którym w czasie bitwy dnia poprzedniego donoszono na linie skrzynki z amunicją. W pół jego drogi boczny uskok łączył go z kwaterą pułkownika J.

Pułkownik J. trzymał się jednak pewnych zasad, od których odstępować nie lubiał. Im mniejszy oddział stał w danej chwili pod jego bezpośrednimi rozkazami, tem bliżej frontu obierał kwaterę. A ponieważ dnia tego miał sobie podległe tylko dwa

bataliony, gdyż baon M. był wówczas detaszowany na odcinek pod wsią K., więc nie zważając na swą szarżę, umieścił się w punkcie, jaki normalnie przysługiwałby kapitanowi, lub co najwyżej majorowi.

O kilkanaście kroków stamtąd leżała ukryta w ziemi kwatera kap. T. i Dwór M.

Pułkownik J. usnąć tego wieczora nie mógł. Szósty z rzędu dzień bitwy zmęczyć mógł nerwy niezgorzej. A jest to na wojnie objaw znany powszechnie, że po przekroczeniu pewnej granicy utrudzenia sen się powiek nie chwytą.

I teraz tak było. Zarzucił więc płaszcz na barki i nie budząc adjutanta G., ani śpiących w przedsiönku ziemianki ordynansów alarmowych, wysunął się z kwatery i poszedł do linii rowów.

Po łomocie granatów i syku szmermeli, jakie od dni sześciu przewały się nad tym bagnistym skrawkiem frontu, cisza, panująca tej nocy, drażniła bardziej, niż tupot wybuchów. Rzadkie, oszołomione strzały placówek, tłumione mgłami, przywykłych do huku nerwów zaspokoić nie mogły.

W płytkich rowach, gdyż na wykopanie głębszych nie dozwalała woda zaskórna, czuwali legionieści. Sennemi głosami obgadywali w urywanych słowach zdarzenia dni ostatnich: jak to sanitaryuszka Z., opatrząc rannego, od kuli padła, a biegający jej z pomocą sanitaryusz K. obok się zwałił w głowę trafiony, jak padł chorąży K., jak I., podporucznikowi, kożuszek kula na plecach przestrzeliła, gdy rozkaz z kolumny Brygady T. zanosił, jak to tenże kap. T. jutro na pierwszy od początku wojny urlop pojedzie, jak to M., doktora, brygadyer parę dni temu już drugim za waleczność medalem dekorował i jak ten zmieszany w swej prostocie doktor, jak zwykle, z podelba spozierał...

W innej grupie żołnierzy toczyła się strategiczna dyskusja, bo „re-

luton“ nasz, po roku wojny, za strategika słusznie się uważa.

Palilo się tam we wnętrzu rowu gąłęziami starannie osłonięte ognisko. J. do żołnierzy się przysiadł; miejsce mu najcieplejsze przy ognisku wybrali i dalej dyskusje ciągnęli.

Wspominali te czasy, gdy to czternaście miesięcy temu śpiewali mu w pochodach:

„Marsz, marsz! Żegota
Przez węgierskie błota“

aż teraz tutaj razem w inne błota przymaszerowali...

Wstał pułkownik od ogniska, linie wzdłuż przeszedł, potem na lewe skrzydło, które z pułkiem armii graniczyło, zajrzał, inspekcję w rowach skontrolował, chwilę jeszcze strzałów placówek posłuchał, na las obsadzony przez moskali popatrzał i do ziemianki zawrócił.

W kwaterze ciepło było, więc mundur pod głowęłożył i legł spać.

Minęło cichej nocy godzin kilka...

Wrzask padł od pół.

Nagle, niespodziewanie, bez strzału, bez utarczki, bez odgłosów bitewnych „hurra“ zabrzmiało o kroków sto.

Porwał się Żegota. Za buty chwycił, lekko wchodziły, już je miał na nogach, mauzer w garść, płaszcz na barki i skoczył na pole. O dzieś się kroków błysnęły bagnety rosyjskie, bo hurma żołdatów biegła tyraliera. Ale skąd?! od tyłu! gdzieś z lewego skrzydła!

Tuż był rów aproszowy. Zeskoczył doń i do wsi się skierował, a w ślad za nim i z boków gonili żołdaci. Chorąży Ż. z nim się skrzyżował i krzyknął, że w okopach pierwszej linii moskale. Część tylko żołnierzy zdążyła uskoczyć na odcinek pruskiej Brygady, reszta broni się bagnetem.

Jak zdążyli ująć pogoni, Bóg raczy wiedzieć, ale do wsi dobiegli. Tam pod chałupami dzielny podpor. L. pionierów od roboty do karabinów porwał i już wiódł tyraliera między chałupami.

Wstrzymali pierwszy atak. Podpor. T., choć chory, ze szpitala wypadł, komendę nad dwiema kompaniami rezerwy objął i pionierów wspomógł. Porucznicy Sz. i P., chorąży K. wnet się również odnaleźli i już stali w ogniu.

Ale przemoc natarcia była za silną. Musieli się kilkaset kroków w tył cofnąć, broniąc się bagnetem i kolbą. Dr. St. rannych ze szpitala wyprowadził; zostawił tylko dwóch rosyjskich żołnierzy. A ci w krzyk, by i ich zabrał; tutaj lepiej ich wyleczyć, do swoich nie chcą się z powrotem dostać. Wreszcie pochowali się

w słomę i „szczęśliwie“ przetrzymali atak.

Położenie było groźne, bo napór szedł coraz większy. Szczęściem, że ze wsi przybył spieszony szwadron huzarów węgierskich. Żołnierze, jak lwę, J. siły tak rozdzielił, że huzarów skierował na lewe skrzydło, sam z pionierami i z kompaniami rezerwy na prawem się umieścił — i atak na utraconą przed chwilą wieś wznowił.

Ciężko było wieś tę odbijać; każdą chałupę, każde gospodarskie obejście trzeba było z osobna brać bagnetem.

Ranę w piersi wziął dzielny podpor. L., kompania pionierów topnieje w oczach. Ale na skrzydło z furą idą huzarzy naprzód. Wreszcie ostatnią chałupę legionści wzięli, a w niej 40-tu moskali.

A teraz do okopów! Szedł J. w płaszczu, który niejedna kula przebiła. Obok niego Sz. i N. Ale za chwilę Sz. już leżał; w nogę dostał, zdawało się, że lekka rana; wnet druga kula gwizdnęła. Ta arterię przebiła i młode życie z krwią uszło. Zanim do okopów doszli, N. ranny padł i również więcej nie wstał. T. postrzelony, ale dało się go odratować.

Adyutant G. miał szczęście; dostał lekką ranę w rękę, lecz cudem tylko uszedł niewoli. Gdy pułkownik z kwatery wypadł, moskale tuż za nim wpadli do przedsionka. G. rewolwerem ich przepłoszył i, korzystając z ciemności, przemknął się do swoich. Za chwilę rosyjanie powrócili w większej liczbie i ordynansów, którzy jeszcze w ziemiance zostali, ze sobą uprowadzili. Porwali również mundur i misterny zegarek Ż. Szczę-

ścia im jednak zrabowane rzeczy nie przyniosły, gdyż od kul padli, lub ranni do niewoli się dostali.

Wreszcie okopy odzyskano i nie dość, że stojące tam karabiny masynowe własne uratowano, ale jeszcze i rosyjskie, świeżo zatoczone, zdobyto.

Moskale uciekali w popłochu lub szli w niewolę. Skorzystał z tego pułkownik i pchnął oddziały jeszcze dalej naprzód. Zbudziła się i artyleria i ciąć zaczęła szrapnelami w pozycje rosyjskie. Nie minęły trzy pacierze, jak nasi chłopcy już w nich byli. Utrzymać się jednak na stałe nie dały, gdyż jako wysunięte zbyt naprzód, zawisły na obu skrzydłach w powietrzu. To też, gdy nastał świt, wypadło wrócić do dawnych stanowisk. Ale nie na długo. Nie minął tydzień, a już rosyjanie, wyrzuceni za rzekę S., pozycje te na dobre stracili.

Bezpośrednio po ataku zaczęto zbierać rannych, liczyć brakujących. Wśród poległych leżał chorąży Leon K., którego śmierć żałobą okryła pułk i czcigodny dom rodzinny w Krakowie. Nie było kapitana T., który dnia tego miał jechać na pierwszy urlop od początku wojny i dwóch towarzyszących mu doktorów. Być może, że kapitan, który tyle ataków nagłych już od roku przeżył i teraz zimną krew zachował, a zbierając się ze snu spokojnie, zniemacka został otoczony. Z nim razem w niewolę padli i dwaj dzielni doktorzy.

Leżało tam wielu innych, ale śmierć ich pomszczono dotkliwie. Kilkuset zabitych i rannych moskali krwią przeplaciło ten atak. Dwustu blisko zostało jeńcami.

Z naszych wziętych do niewoli część odbito, a część umknąć później zdołała. Jeden z „relutonów“ uratował się w dziwny sposób. Oto wydrapał się na drzewo, korzystając z chwilowego postoju jeńców, przesiedział tam dwa dni, obserwując z góry moskali, aż wreszcie doczekał się ofensywy i do swoich powrócił.

*

W styczniu rok minie, jak 3-ci pułk odparł zwycięsko nocny atak na Rafajłow. Obecnie pułk 2-gi zapisał kartę podobną w swych dziejach. Walka taka, w której niema komendy ni kontroli, kiedy każdy żołnierz musi być sobie wodzem, kiedy się zdaje, że już wszystko stracone, kiedy śmierć lub niewola dławią w swym uścisku — walka taka zwycięska, to chluba żołnierza.

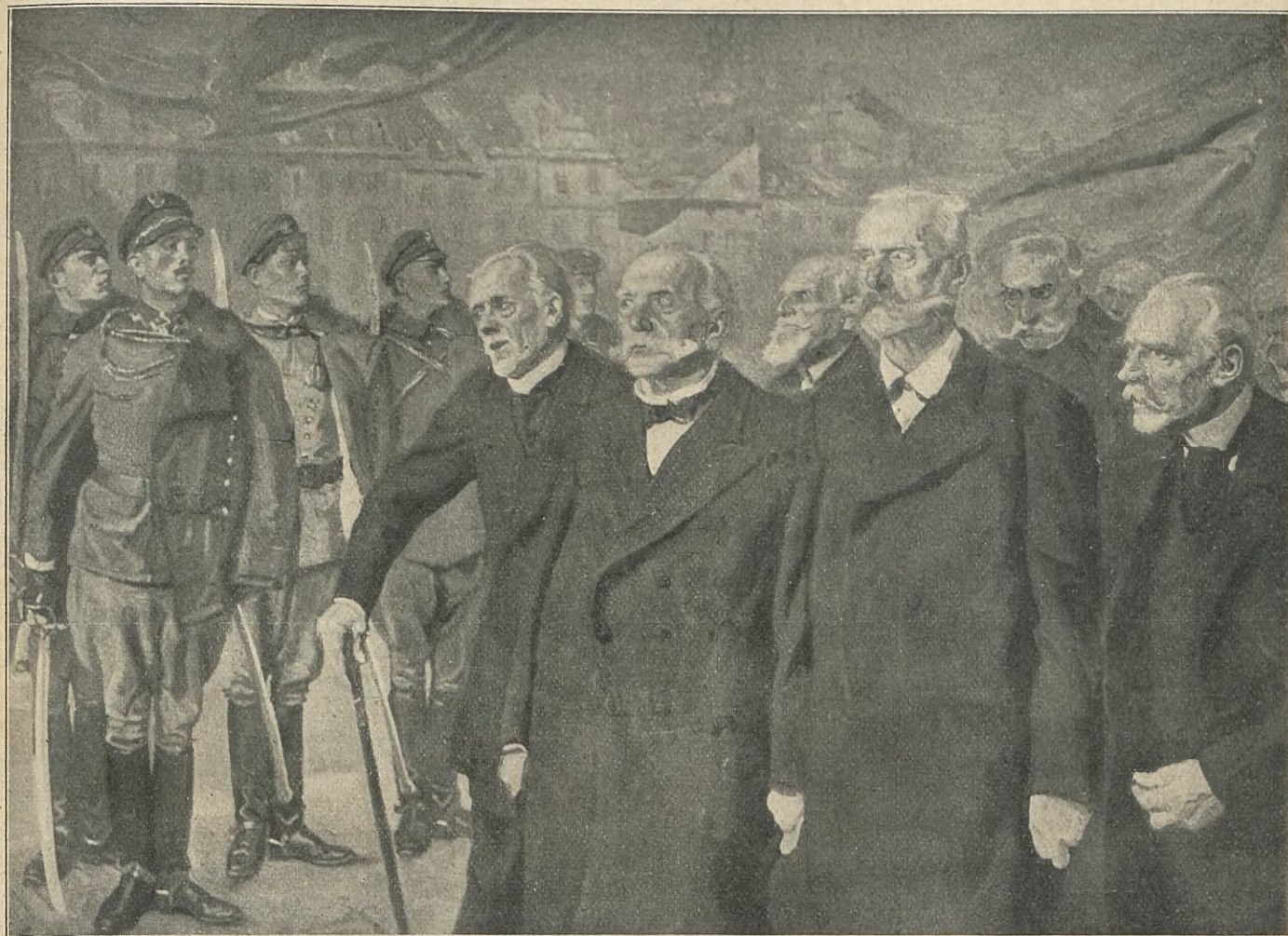
Ależ też była ona pułku 2-go bitwą sto trzydziestą z rzędu.

Z wystawy artystycznej w „Polonii“.



R. Kramsztyk. Portret.

St. Rostworowski.

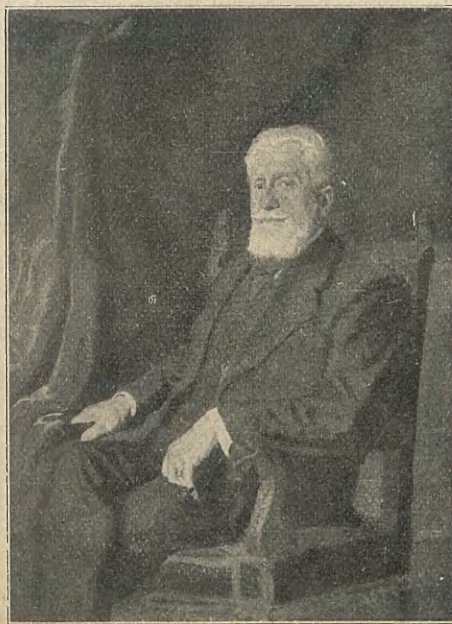


Fot. A. Masłowski.

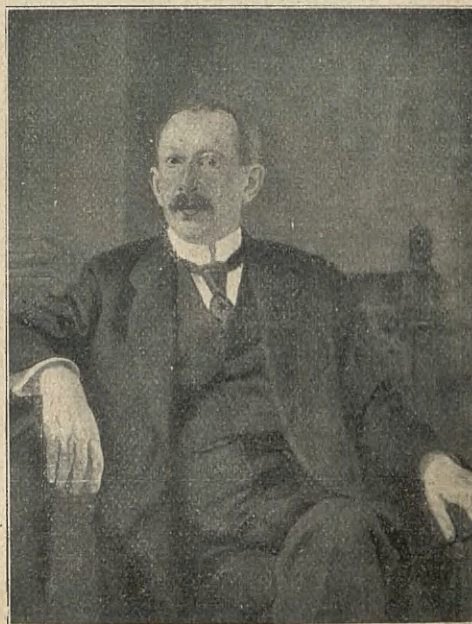
St. Lentz. „Baczność“.



St. Lentz. Portret p. K.



St. Lentz. Portret p. B.



St. Lentz. Portret p. K.



Fot. A. Mastowski.



J. Rapacki. Ku wiośnie.

Fot. A. Mastowski.

J. Rapacki. Portret.

Z T.Z.S.P. w Warszawie. Wystawa Stanisława Lentza.

Obecna wystawa Lentza jest stwierdzeniem, że im dalej ten mistrz maluje, tem zdobywa coraz większe obszary sztuki. Z malarza pojedynczej postaci, przeszedł do grup, od grup zawrócił do scen życia zbiorowego. Z malarza jednostki stał się obserwatorem człowieka en masse.

A wszystko to opanował tak po malarsku pewnie, z tak imperatywnym gestem formy, że na określenie tego rodzaju twórczości niema innego lepszego słowa, jak genialność.

*

* *

Któż nie spał podczas pochodu 3-go maja owej szanownej grupy starców-weteranów, bohaterów z 1863 roku?

Naszemu artyście musiało to wpaść w oko i przypaść do serca. Ci staruszkowie w kontraście do młodych legionistów są przepięknym motywem dla psychologa-malarza. Lentz malując obraz swój „Bacność”, zdarzenie to dziejowe utrwalił, przez

co stał się i malarzem historycznym. Nie będziem się rozpisywać nad wybornym rysunkiem i ruchem całości, piękny to dar dla sztuki naszej i narodu. Piękna ta chwila nie zginie, będą się na niej ostrzyć duchy za lat sto tak, jak my dziś na rysunkach Orłowskiego z powstania Kościuszki.

W karierze każdego artysty bywają obrazy wybrane, jakieś takie ot, które tak mu się udały, że niema możliwości ich zastąpić czemś innym, choćby nawet i lepszym. Ogi takim obrazem był konfekt Imc Pana historyka Jabłonowskiego. Teraz znów po latach nastąpił drugi podobny ewenement. Lentz namalował

dra Sokołowskiego, prezesa kursów naukowych. Nie wiele znam lepszych portretów na świecie. Jest to zupełna pełnia twórcza artysty, świetna karta malarska w patetycznym stylu. Gdyby wszystko, co malarz namalował dotąd — zaginęło, a pozostał dr. Sokołowski, znaczenie twórcy zostałoby jednakowe.

„Robotnicy” mają swoich protoplastów ideowych w „Strejku” (Muzeum Zachęty). Ale jaka różnica opanowania motywu! Tam jest i siła, i typ, i rozmach — tylko niema tej doskonałej całości. Brak jeszcze „obrazu”. Postać agitatora z podniesionymi rękoma jest „clou” tego doskonałego dzieła, potęga życia bucha z tej postaci. I tak dalej: portrety panów Kozłowskiego, Kona i Bruna są podobiznami reprezentatywnymi. Rzadko kto tak doskonale portretuje ręce. A dalej niezrównana pani Karpińska, obecnie już i za granicą doskonale znana. Wreszcie Henryk Sienkiewicz, niestety, tylko dwa posiedzenia mógł udzielić artyście. Ale portret kapitalny, a do ikonografii wielkiego powieściopisarza dopełnienie świetne.



Zjazd rolników w Centralnem Towarzystwie Rolniczem.



Fot. Maryan Fuks.

Posiedzenie najwyższej instancji C. T. R. — Rady Głównej.

Gospoda dla żołnierza polskiego.



Grupa obecnych na uroczystości poświęcenia i otwarcia „Gospody” przy ulicy Nowogrodzkiej № 39. Zarząd Gospody stanowią pp.: Iza Młoszczyńska, dr. Teresa Ciszewiczowa Helena Grotowska i Ludwika Zawadzka.

Fot. Maryan Fuks.

W OKRĘGU.

Pierwsze wrażenia.

Świętokrzyska, przy wylocie Szkolnej. Tu mieści się Okrąg I-szy, który los ułokował akurat po za terenem jego pracy. Ten teren sięga od Chmielnej po za Stare Miasto i spuszcza się aż na Powiśle, ale Świętokrzyska do niego należy.

Pierwsze wrażenie, jakiego doświadczamy, jest niesłychane. — ale za to drugie zaraz, i wszystkie bodaj następne, bardzo miłe. Dom, w którym się mieści ten okrąg, to pałac wielkopański, wystawiony zapewne w początkach dziewiętnastego wieku, nie bez gustu w proporcjach i w prostocie linii, obudowany w jednym stylu dookoła (może z późniejszymi przystawkami kolumnowymi przy wejściu z dziedzińca do ogrodu). Jak ten pałac w śródmieściu mogą właściciele tak poniewierać, — to tylko zanikiem wszelkich poczuć historycznych i rodowych można sobie wytłumaczyć.

Do czasu ewakuacji tu było czarne gniazdo żandarmeryi rosyjskiej. Stąd uciekł jeden z najgroźniejszych rewolucjonistów, przebrawszy się w szynel doktorski, wiszący w przedpokoju, i kazawszy sobie żandarmowi dyżurnemu zawołać do-
rożkę z ulicy.

Obecnie są tu biura okręgu, przeniesione z Nowego-Swiata.

Wstępuję na pierwsze piętro. Dyżurny posterunkowy daje mi uprzejmie wskazówki. Melduję się komisarzowi. Zajęty. Wypada mi poczekać dłuższą chwilę w sali,



„Meldunek“ w okręgu.

Fot. Maryan Fuks.

gdzie, za rytualną kratką drewnianą, stoi kilka obszernych stołów, dość wstętnie nagich, i siedzi przy nich kilku funkcyjaryuszów, od którychby może było nieludzkim żądać — aż uprzejmości. Tyle spraw drobiazgowych, nędzniuchnych muszą oni wyeksperymentować co dnia...

Za ostatnim stołem funkcyjaryuszka kobieta.

Na ławie paru synów Izraela, interesanci, cierpliwi i pewni swego. Jeden i drugi stróż przy kratce z księgą meldunkową pod pachą.

Czekam, grzejąc grzbiet przy ciepłym piecu. Jestem w polskim cyrkule. Wrażenie jest dziwne. Pa-

nuje tu spokój, — prawie leczniczy. Żadnego gwałtu. Żadnej nerwowości. To właśnie, co stanowiło normalną atmosferę cyrkulu rosyjskiego: owa ciężka gorączka, ustawiczne napięcie, jakieś ciągle pełzanie tajemniczości i tajemnicy z kąta do kąta, z izby do izby, niepewność i podejrliwość, lada moment rozwiązać się grożące w jakąś przykrą niespodziankę, w katastrofę może — całkowicie tu nieobecne.

Tłumaczy tę różnicę psychologii dwóch cyrkulów: rosyjskiego i polskiego. p. Gepner, pomocnik komisarza, adwokat przysięgły, który swoją rangę otrzymał przez awans z przodownika:

— Okrąg nie ma wcale zadan szpiclowskich, które w cyrkule były najpierwsze i najważniejsze. Nasi przodownicy nie są obowiązani znać każdego lokatora „w lico“, jak rewizorowi; nie mają obowiązku wywiadów ze stróżami: kiedy lokator wraca do domu i kto u niego bywa; nie noszą przy sobie listy podejrzanych, nad którymi rozciągnięty jej „niegłówny nadzór“. Stąd właśnie ten spokój, który jest wogóle spokojem uczciwych ludzi, pełniących uczciwie prawe i jawne obowiązki.

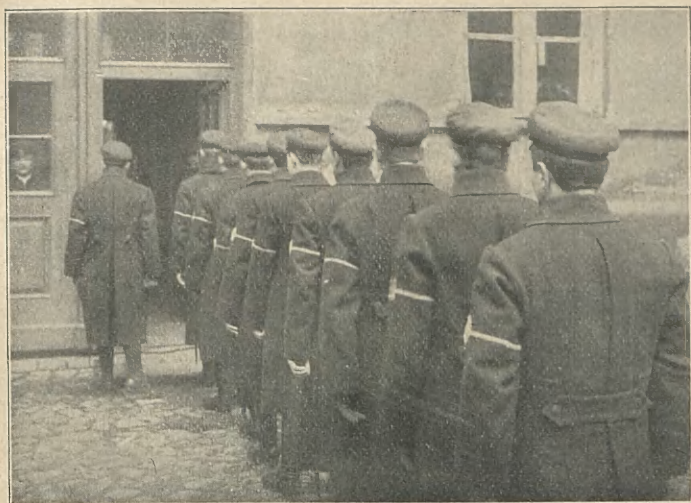
Ale jeszcze jedną ulgę posiada okrąg:

— Jesteśmy policją porządkową. Sprawy cięższe należą do policji kryminalnej. Ta jest obecnie instytucją niemiecką. Nasza rola wobec złooczyńcy kończy się rychle: pierwszą pomocą, daną obywatelowi, przyjęciem protokołu i odesłaniem przestępcy dalej.



Sesja z przodownikami.

Fot. Maryan Fuks.



Wyprawa zmian posterunkowych.



Składanie raportu.

Fot. Maryan Fuks.

Wogóle z okręgu prowadzą trzy drogi:

1. Do sądu pokoju. Komisarz oddaje tu bezpośrednio pewne sprawy, w których naruszono zwykle prawa i przepisy podrzędniejszego stopnia.

2. Do centrali milicyjnej, gdy sprawa wymaga samodzielnego ustanowienia władzy milicyjnej.

3. Do policji kryminalnej niemieckiej, gdy chodzi o przestępstwo cięższe.

Personel Milicyi.

Komisarz okręgu I, p. Stanisław Brühl, ukończył pilną robotę i może poświęcić dziennikarzowi kwadrans czasu.

Zaraz pierwszą rozmowę przerywa nam miły dźwięk telefonu.

— Tak, każdy okrąg posiada swój telefon. Możemy się komunikować jeden z drugim; dalej z każdym wydziałem osobno naszej centrali; wreszcie z policją kryminalną niemiecką.



Posterunkowy podczas śnieżycy przed bramą okręgu.

Fot. Maryan Fuks.

O personelu milicyi, p. Brühl, który nie należy do optymistów, jak się zdaje, daje mi następujące informacje:

— Skład okręgu stanowią: posterunkowy (którzy dawnym stójkowym odpowiadają), przodownicy, albo dzielnicowi (dawniej — rewirówi), podkomisarz i komisarz. Mamy wreszcie siedmiu urzędników.

— Jakie są różnice między dawnymi a obecnymi funkcjonariuszami?

P. Brühl systematycznie traktuje tę sprawę:

Pod względem wynagrodzenia.

— To trudno porównać. Pensye obecnie są większe. Najmniejsza pensya posterunkowego wynosi 50 rb. Ale środki spożywcze droższe. Dawniejsi stójkowi urzędnicy byli koszarowo, co dawało pewne materialne wygody. Dajemy dodatki drożyzniane. W sumie jednak nie można powiedzieć, że posterunkowy lepiej jest wynagradzany, aniżeli był stójkowy płacony.



W okręgowym sklepiu spożywczym.

Fot. Maryan Fuks.



Do „ula”.

Fot. Maryan Fuks.

Pod względem cenzusu.

— Ten jest znacznie wyższy wogóle. Skończenie dwuklasowej szkoły stanowi konieczne minimum dla posterunkowego. Śród przodowników są ludzie z wykształceniem większym, a zdarza się, że i z wyższym nawet, jak politechnika lub uniwersytet. Przytem większość zna choć jako-tako język niemiecki i cudzoziemcom może usłużyć wskazówkami na ulicy.

Pod względem towarzyskim.

— Różnica jest również bardzo duża. U nas nawet ludzie warstw niższych mają pewną sumę ogłady, poloru towarzyskiego, co trochę przypomina francuskie stosunki. Nie wszędzie ten polor zewnętrzny połączył się z głębszymi warstwami duszy, ale na zewnątrz właśnie przedstawia on milicję naszą pokaźnie.

Pod względem moralnym.

P. Brühl rzekł tylko:

— Noo...

W istocie, to jest wystarczające.

Dzień w okręgu.

Okrąg jest czynny przez 24 godzin i przez dni 365 w roku zwyczajnym; w innym dochodzi do tego jeszcze 366-ty.

Urzednicy zasiadają przy biurkach o wpół do dziewiątej. Od 9-ej schodzą się stróże z meldunkami. Do 12-ej okrąg załatwia klientów; potem zaś od wpół do 4-ej do 6-ej.



Pościg za bandytą.

Fot. Maryan Fuks.

Około 12-ej dzielnicowi schodzą się w okręgu na posiedzenie wraz ze swoją władzą. Podawany im bywa codzienny rozkaz komisarza, w którym mieści się z codziennego rozkazu naczelnika milicji to, co dzielnicowym do wiadomości może być potrzebne.

Praca główna milicji — to pilnowanie porządku publicznego, przede wszystkim na ulicy. Na służbę wychodzi milicja plutonami, których wielkość jest zmienna. Pluton prowadzi przodownik (rodzaj oficera). Pluton dzieli się na 2 sekcje, każda pod kierunkiem sekcijnego (rodzaj podoficera). Plutonowy od-

czytuje głośno rozkaz dzienny komisarza.

Obecnie straż milicyjna pełni służbę 8 godzin na dobę. Z tych 4 godziny na posterunku, a drugie 4 w rezerwie (przy komisarzu, na specjalnych zleceniach i t. p.). Posterunkowy ma 16 godzin na dobę wolnych. W razie cięższych mrozów urządzane są zmiany częstsze. Ale typ bywa utrzymywany.

W suterynach okręgu jest, oczywiście, specjalna ubikacja: *Koza*. Są nawet dwie kozy: męska i żeńska. Żeńską znalazłem dnia tego pustą. W męskiej cztery indywidua znalazły chwilowy przytułek.

— Nie wolno nam trzymać dłużej tu człowieka, niż 24 godziny — objaśniał mnie p. podkomisarz. — Wyjątek możemy robić tylko w razach usprawiedliwionych, gdy idzie o śledztwo w ważniejszej sprawie, albo o sprawdzenie osobistości podejrzanego o czyn kryminalny człowieka.

Umieblowanie tego przytułku jest, oczywiście, dość prymitywne: „cztery kąty a piec piątą”, oprócz tego szeroka drewniana prycza, widocznie często myta, i kubek do wody.

— Gdy zatrzymamy pijaka, zostaje tu aż do wytrzeźwienia.

— Pijaka? teraz? — żdziwiłem się.

— Ilu ich jest — odrzekł mi p. Gepner, — To w sklepach brak wódek. Ale pokątnie idzie handel gorzałką, aż miło. Zwłaszcza w dzielnicy nalewkowej. Co raz to tajna gorzelnia dostaje się w ręce milicji.



Scena małżeńska podczas badania w komisaryacie.

Fot. Maryan Fuks.

Varsoviensis.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Piosnki ułańskie”, trzy akty wierszem W. Bunikiewicza.

Tym razem po aktualny temat sięgnął nie spekulant na sensację, nie fabrykant teatralny, lecz poeta. Przeżycia, stanowiące osnowę trzyaktowej komedii wierszem Bunikiewicza, zaczerpnięte są z ostatnich czasów wojny, kiedy nawała rosyjska szła na Galicyę, kiedy ciszę i spokój wsi polskiej zakłócił zgiełk bitewny, huk armat, złowroga luna pożarów. Na tem okrutnem tle Bunikiewicz snuje miłą sielankę. Do starego dworku szlacheckiego zajeżdża dwóch ułanów-legionistów. Oczywiście, serduszka dziewcząt, które w tym czasie znalazły się we dworze, zabiły żywo do dzielnych chłopaków. Panna Hela przekona się, że prozaiczny szlachcic, mający odrazę do niebezpieczeństw wojennych, nie będzie mógł wypełnić jej tęsknot dziewiczych. Trzecia wreszcie panienka, rozkoszny podłotek, zazdrościć będzie starszym siostrom: autor poskapił jej trzeciego ułana, z którym mogłaby poszczebiotać o miłość.

Cały ten romans, nieskomplikowany i nawet naiwny, posiada szczerzy sentyment, zwłaszcza w pierwszej połowie, — kilka scen ładnych i czułych. Po wielu latach na scenie pojawia się — już nie inżynier, nie lekarz, nie szlachetny przemysłowiec, — ale żołnierz polski, bliski sercu i miły. Ułańska piosenka o rozmarynie budzi jakieś utajone wspomnienia, stare tęsknoty, wzruszenie...

To wrażenie przecież psuje owó tło aktualne, do którego piosenkarzowi zabrakło rozmachu i mocy. Grozy wojny nie czuje się wcale w sztuce Bunikiewicza, mimo że przez cały 3-ci akt wszystkie miednice Teatru Rozmaitości huczą armatnim gwałtem, mimo, że przez scenę przewija się spłoszona garść uciekinierów wojennych. W ciągu tej wojny każdy polak zapoznał się bliżej z grozą wojny: obraz, jak daje twórca „Piosnek”, jest tak lekki i delikatny, że mógłby zdobić bonbonierkę.

Po za tem niewprawność teatralna poety nadaje jego utworowi wdzięk świeży i młodzieńczy. Nie sili się on na charakterystykę posta-



Fot. Salyblewski.

Pp.: Węgrzyn, Szylling, Starzyński i Lubicz-Sarnowska.

ci. Nie szuka scen efektownych. Ale mówi prosto, szczerze i ładnie. Nie waha się wpleść do swych opowiadań nazwisk prawdziwych, podkre-

ślając przez to jeszcze silniej aktualny, niemal okolicznościowy charakter swej komedii. Potrafi wytworzyć między sceną i widownią nastrój serdeczny i zwycięża.

Z opery warszawskiej.



E. Bandrowska, śpiewała z powodzeniem Małgorzatę w „Fauście”, Jednając sobie uznanie krytyki i publiczności.

Artyści Teatru Rozmaitości zresztą przyszlą autorowi ze skuteczną pomocą. Wszystkie role obsadzone były starannie, na scenie pojawił się dawno nie widziany mistrz Rapacki, tworząc śliczną postać białowłosego dziadunia, co to w 63 r. bił się z moskalem. Panna Szyllinżanka i p. J. Węgrzyn stanowią uroczą parę, i można mieć w tym wypadku trochę żalu do autora, że tak mało żywej krwi dał tym postaciom, gdy się jej znalazło więcej w podłotku i szlachcicu-pacyfiście. P. Sarnowska budziła zachwyt swą czarującą rezolucją, p. Janusz — wybuchy śmiechu.

Reżyseria i wystawa staranna.

S. K.



Dnia 10 marca odbył się Zjazd książąt Kościoła w Warszawie. Równocześnie przypadła uroczystość stulecia Archidiecezyi Warszawskiej.



Ks. J. Bilczewski, arcybiskup lwowski.



Ks. E. Dalbor, arcybiskup gnieźnieński i poznański.



Ks. Aleksander Kakowski, arcybiskup warszawski.



Ks. Antoni Nowowiejski, biskup płocki.



Ks. Józef Sebast. Pelczar, biskup przemyski.



Ks. Kaz. Ruszkiewicz, bisk. tyt. beryski, sufr. warsz.



Ks. Maryan Ryx, biskup sandomierski.



Ks. Adam Stefan Sapieha, książę biskup krakowski



Ks. L. Wałęga, biskup tarnowski.



Ks. Stan. K. Zdzitowiecki, biskup kujawsko-kaliski.

Działalność J. Kucharzewskiego na gruncie szwajcarskim.

Wojna europejska zatrzymała p. J. Kucharzewskiego, autora „Epoki Paskiewiczowskiej” i „Mochnickiego”, w Szwajcarii. Z początku odcięcie od kraju wśród kolonii polskiej w Szwajcarii zrodziło zupełny chaos. Dopiero z biegiem czasu zarysowały się dwie dążności polityczne: niepodległościowa i autonomiczna.



Jan Kucharzewski.

P. J. Kucharzewski wyraźnie stanął przy państwowym postulacie naszych dążeń narodowych. Działalność swoją rozpoczął na gruncie lozańskim, w tym kierunku informując prasę szwajcarską. Rozpoczął wydawnictwo „La Pologne et la guerre”. Wydawnictwo to dobrze zasłużyło się sprawie naszej. Poza tym wydał cały szereg publikacji po francusku: „La Pologne et la Guerre” pióra J. Kucharzewskiego. Jest to przedruk z „Gazette de Lausanne”, przeznaczony dla



Ks. Józef Teodorowicz, arcybiskup lwowski (obrz. orm.). Na uroczystości wygłosił płomienne kazanie: *Pogrobowcem Polski jest archidiecezja warszawska, która powstała na gruzach państwa polskiego, jako symbol łączności narodu, oraz protest przeciwko dzisiejszemu aktowi.*

publiczności francuskiej. Następnie napisał szerszą rozprawkę po francusku p. t. „Réflexion sur le Problème Polonais”. Książka ta w stosunkowo krótkim czasie miała sześć edycji. Jest to najlepszy wskaźnik, jak pożądana była tego rodzaju praca. P. Kucharzewski w sześciu rozdziałach: „Wojna i narody, oszczerecy Polski, Polska i inne narodowości, rozdział i konsekwencje, Polska i jej władcy”, oraz „Nie można zabić narodu” przeprowadza myśl nie obcą francuskiej inteligencji, gdyż należy ona do Alberta Sorela, że „rozdział Polski był gwałtem i czynem politycznie nierozsądnym”. Książka ta dla cudzoziemca posiada pierwszorzędną wartość instrukcyjną. P. Ku-

charzewski jaknajczęściej oddaje głos pisarzom francuskim. Przez cały wiek niedoli naszej nazbierała się cała girlanda głosów francuskich i to pisarzy pierwszorzędnych. Nieprzedawnione prawo do wolności politycznej dla Polski wojna wysunęła na pole rozważań politycznych i dyplomatycznych.

P. Kucharzewski wśród kolonii polskiej starał się też wytworzyć pewien most porozumienia. Ślad tego znajduje się w broszurze p. t. „W imię jedności”. Jest to książka przeznaczona dla tych, którzy chcą informować o Polsce. P. Kucharzewski wskazuje, jak wiele złego przynosimy sprawie naszej rozbieżnością informacji. Poza tym kładzie silny nacisk na rolę cywilizacyjną Polski. P. Kucharzewski mówi:

„Przewidując, iż terytorium, za Polskę prawnie uznane, nie ogarnie wszystkich ziem, na które rozpostarła się od wieków kultura polska, należy zwrócić szczególną uwagę na rolę dziejowo-cywilizacyjną narodu polskiego na ziemiach, do ściśle etnograficznego terytorium polskiego nie należących, oraz domagać się w następstwie, aby naród polski otrzymał na tych ziemiach warunki prawno-polityczne, dające możliwość rozwoju i pielęgnowania narodowości i cywilizacji rodzimej”.

Poszczególne uroczystości wywołały też konieczność wzięcia w nich udziału. Jubileusz powstania listopadowego w 1915 roku nasunął p. Kucharzewskiemu temat do prelekcji, która w następstwie wyszła też w osobnej odbitce. Śmierć Sienkiewicza w konsekwencji wywołała

obchód w sali „Liliany” w Lozannie. Obchód ten odbył się w dn. 27 grudnia 1916 roku.

Praca p. Kucharzewskiego nie łączyła się z działalnością informacyjną tych działaczy politycznych polskich, którzy w Szwajcarii stale zapewniają, że „Polska zadowolili się autonomią w myśl odezw wielkiego księcia”. P. Kucharzewski poza szwajcarską expozyturą N. K. N., która współdziała dla idei legionów i tryalizmu w ramach monarchii habsburskiej, był jedynym informatorem z Królestwa, dzierżącym sztandar niepodległości.

Po akcie 5 listopada forma politycznego samookreślenia nabrała realności i dziś nasza Tymczasowa Rada Stanu da zapewne i biurom informacyjnym zagranicznym odpowiednie instrukcje. Czy Rada przejmie agencję N. K. N., czy też stworzy nowe placówki, czas pokaże. Jest to jednak rzecz pilna — bo interesuje się nią nasza bardzo zagranicą neutralna, jak i wojująca.

Kals.

Zjazd Centralnego Komitetu Narodowego w Warszawie.



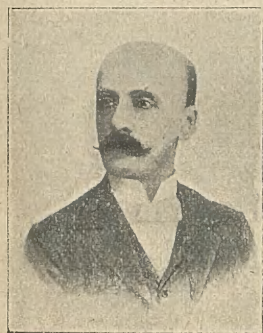
Delegacje przybyłe z adresem do Rady Stanu. Na pierwszym planie w środku komendant Piłsudski.

Fot. Maryan Fuks.

Ś. p. Bronisław Znatowicz.

Dnia 10 b. m. zmarł w 66 roku życia wybitny chemik i przyrodnik polski

Bronisław Znatowicz. Urodzony w r. 1851 w Lublinie, po skończeniu tamtejszego liceum, studiował przyrodę na uniwersytecie warszawskim i następnie we Lwowie, gdzie został asystentem prof. Freunda przy katedrze chemii ogólnej w Politechnice lwowskiej. W roku 1874 wrócił do Warszawy i został asystentem przy katedrze chemii w uniwersytecie warszawskim. W roku 1878 został redaktorem „Zdrowia”, które wydawał z dr. Dobrskim. Jako redaktor „Wszechświata” wydał 30 roczników tego pisma. Wydał przy pomocy kasy im. Mianowskiego 20 tomów Pamiętnika fizyograficznego. Jako redaktor „Chemika Polskiego”, wydał 6 roczników tego pierwszego samodzielnego organu chemików polskich. Na stanowisku inspektora oświetlenia gazowego m. Warszawy, które zajmował od r. 1889 do ostatniej chwili, bronił zawsze gorąco interesów miasta i wprowadził wiele ulepszeń i nowości w oświetleniu Warszawy. Był współzałożycielem Towarzystwa Ogrodniczego, Kasy im. Mianowskiego, Sekcji chemicznej przy Tow. popierania Przemysłu i Handlu. Wspólnie z Józefem Boguckim spolszczył cenny podręcznik chemii organicznej Karola Schorlemmera; wydał własny podręcznik „Chemii mineralnej”, oraz wiele cennych rozpraw, badań, spostrzeżeń; przetłumaczył na język polski „Zasady chemii teoretycznej” Lothara i „Zasady i wyniki badań stereichemicznych” Meyera. Kierował wydawnictwem biblioteki przyrodniczej „Wszechświata”. W r. 1912 obchodzono jubileusz 30-letniej działalności naukowej i społecznej Br. Znatowicza.



Nauka polska ponosi przez zgon Znatowicza ciężką stratę.

Nauka polska ponosi przez zgon Znatowicza ciężką stratę.

Ze sceny i estrady.



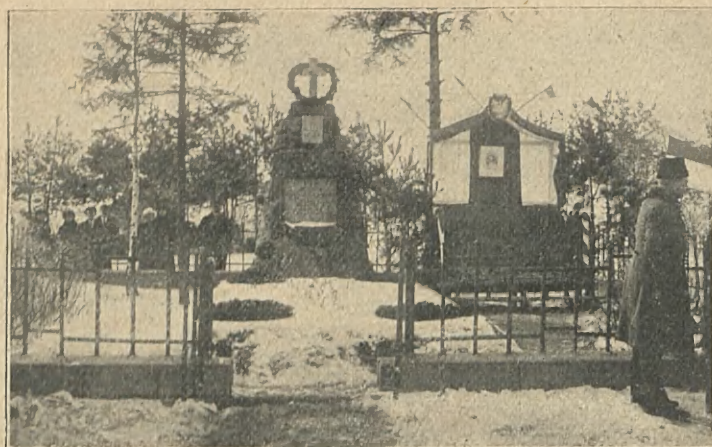
HELENA ZBOIŃSKA-RUSZKOWSKA, świetna śpiewaczka operowa, wystąpiła w „Walkirach” Wagnera, jako Ziglinda, zdobywając sobie uznanie krytyki i publiczności.



STANISŁAW KAZURO, utalentowany kompozytor, którego utwory odegrano na koncercie w Filharmonii. Krytyka podniosła z uznaniem natchnienie i wiedzę muzyczną młodego kompozytora.



WANDA LANDOWSKA, znakomita klawicystka, z entuzjazmem była przyjmowana na koncertach w Filharmonii przez krytykę i publiczność. Grała utwory Bacha, Haendla i Palestriny.



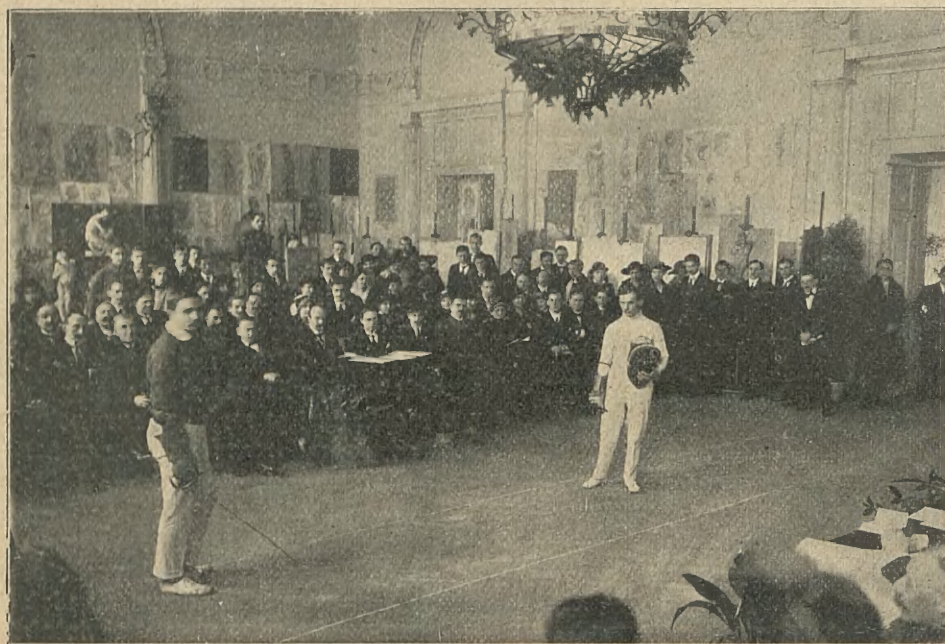
Fot. B. Sztainer.

Groby poległych.



Defilada Legionów Polskich w Dobrem.

Czterodniowy turniej szermierski o „Mistrzostwo studentów Politechniki”.



Zakończenie turnieju. Mistrzostwo zdobył p. Eugeniusz Krzemieniecki. 2 i 3-cie miejsce po kolei zajęli pp. W. Rutkowski i Strzeszewski. Zawody prowadził superarbiter prof. Mischaux.

Fot. Muryan Fuks.

Ofiara tajemniczego mordu w Alejach Ujazdowskich.



Zofia Grobicka, znana w szerokich kołach wesołej Warszawy, utrzymująca się z własnych funduszy, została zamordowana w dniu 22 lutego r. b.

Restauracja „ALKAZAR”

ul. KRÓLEWSKA № 11. 10225

WYKWINTNA KUCHNIA—PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA—CENY UMIARKOWANE—GABINETY.
Poleca **wina** z piwnic **J. Lijewski i S-ka**,
Z poważaniem **Henryk Herbst**.

Wielka oszczędność

Mydłobor

w taflach funtowych.

Doniosły wynalazek

Najnowszy wynalazek chemiczny prof. Felicjana Borysławskiego, zatwierdzony przez J. E. p. szefa Administracji przy J. G. Warszawskiem za № IV c. 10688.

Pierwszorządny środek do prania bielizny, jedwabiu wełny i do mycia ciała, nie zawiera absolutnie szkodliwych substancji. Żądać we wszystkich pierwszorzędnych składach aptecznych i mydlarniach.

Reprezentant na ziemię Warszawską, Litwę i Wołyń
Br. Rydzewski, Marszałkowska 33.

Nie niszczy bielizny.

SPRZEDAŻ:
Marszałkowska 33, Wielka 41 m. 30,
Biała 7, m. 8.

10224

Znakomicie myje ciało.

OD BÓLU GŁOWY



10200

W OPLATKACH.

Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.

Warsz. Tow. Ako. „MOTOR” Marszałkowska 23.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 10 marca 1917 roku.

Nr 9 i 10.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

19

Wobec braku kwiatów i niedolności ogrodnika, pani Polewska podjęła się własnym gustem ubrać stół habrami. Zosi polecono wypisać nazwiska na kartkach, wyznaczających każdemu miejsce u stołu.

I Romek mimowoli po za serdeczniejszem; i poufniejszem uśmiecham otoczenia — czuł się dziś wyższym, a więc jednocześnie i bliższym domu; już nie korepetytorem, biorącym zaliczki, lecz gościem, krewnym.

A jednocześnie w jego duszy drżała jakaś niewytłomaczona wewnętrzna obawa, że coś się może teraz zmienić. Nie na lepsze, ponieważ szczęśliwszym, niż dotychczas, być nie można. A więc na gorsze?

— Z czem na gorsze? — zapytał się i zadrżał z tchórzostwa. — Rzecz prosta, na gorsze w stosunku do niej. Wszystkie inne zmiany w życiu wcaleby mnie nie obeszły.

I choć nie mógł w myśli wykombinować, w jaki sposób ten przyjazd może wpłynąć ujemnie na jego przyszłość, miał jakieś złe przeczucia — pewny, że każde zetknięcie się z bratem łączyło się dotąd w jego życiu wiecznie z wielkimi przykrościami.

Utrwalił się w tem przekonaniu jeszcze w ciągu tegoż dnia.

— Coś strasznego na mnie się zwali! — zadrżał proroczo.

Bo oto ta niepodkreślająca się nigdy w niczem Zosia była dziś dla najmniej subtelnej oka zmieniona. A świetlany obłok, który w wyobraźni Romka płynął nad jej ukochaną głową — zdawał się rzucać —

cały w chmurach — rozpaczliwy wyrok:

— Wszystko skończone!

— Dlaczego? — badała ją jego wystraszone oczy.

Faktem, że Zosia nie pieściła się dziś, ani nie figlowała, ani z matką, ani z Hala. Nie jaśniała dziś ani swymi półuśmiechami, ani półdowcipami. Miała usta zaciśnięte, oczy spuszczone; a w zwykłych, banalnych rozmówkach z nim, kiedy serca ich jakieś nieme hymny śpiewały — dziś — czuł to doskonale, że dusza jej — zamknięta na cztery spusty — milczy grobowo.

— Nie, mamusiu, Hala miała już dość rekreacji. Jutro stanowczo nie zwolnię jej z lekcji. Nie włożę jutro niebieskiej sukni na taką nie pogodę!

— Uczynisz to z miłości dla mnie, ponieważ cię o to proszę, moje dziecko.

— Nie. Nie chcę sprawiać mamusi przykrości chorobą, a czuję, że w tej sukni się zaziębę.

Romek, w myślach zawsze z nią jaknajświęciej solidaryzujący — nie wiedział teraz, czy martwić się najwidoczniejszym jej smutkiem, czy cieszyć? Zdumiewało go to jej jaknajwidoczniejsze bojkotowanie przyjazdu jego brata.

Ten niepokój wciąż w nim wzrastał, niby jakieś kłębiące się chmury; jak czarne ptactwo, które niewiadomo skąd i po co się zlatuje.

Nareszcie powóz, przywożący doktora Horskiego — zajęczał przed kolumny pałacu Jędrzejewickiego. W wielkiej sieni, czyli w hallu, przy-

609
mowała go z trochę przesadną uprzejmością zwykle równa ciotka Benisia w uroczystej jedwabnej sukni.

I doktor Horski, oswobodzony przez służbę ze swego pysznego neseseru podróżnego i przeprowadzony do przygotowanego gościnnego pokoju „pierwszej klasy“, (w którym zmienił swój piękny strój podróżny na jeszcze piękniejszy wizytowy) — ukazał się wreszcie po długiej chwili ogólnego oczekiwania na tarasie — przedstawiony zebranemu całemu towarzystwu, ustrojonymu w odświeżone szaty i odświeżone uśmiechy.

Zosia, prześliczna w swojej białej sukni, w którą ubierała się zwykle do kościoła, mademoiselle silnie upudrowana, Hala z włosami w lokach, pan Gleba i Zareba w tużurkach, Romek w swojej jedynej, mocno podniszczonej marynarce.

Apollo Horski, bardziej Belwederski, niż kiedykolwiek, z dezynwolturą rutynowanego bywalca salonów — począł czarować towarzystwo miłą, równą rozmową, prowadzoną z poczuciem taktu i miary, bez silenia się na zbytnią oryginalność, bez niewczesnych dowcipów, uniesień, nerwów; jedynie z doskonale odgadywanymi gustami i zapatrywaniem reszty zebranego towarzystwa, z trochę przesadną wytwornością manier z nieistniejącego już dworu Tuilleries minionej epoki 2-go cesarstwa.

I Romek, którego brat przywitał z mieszczerem uśmiechem, z ową przesadną uprzejmością, (jaką często usiłujemy nagrodzić ludzi za silniejszą od nas wewnętrzną niechęć, żywioną mimowoli) — odsunięty od reszty towarzystwa — ani przeczuwał — że królowne, nie oczarowane majestatem wielkości — przekładają bardzo często fijołki nad pyszne róże sztamowe.

W cieniu, zagasłemu, bardzo nie-
szczęśliwemu, ani przez myśl nie
przeszło, że pewna nieco schylona
para podłużnych oczu koloru mo-
rza — współczuje smutkowi skrom-
nego pazika.

Rozgoryczony i smutny usiłował
analizować brata jaknajobiektywniej,
jak obcego.

Nie widział go od wieków i ude-
rzyło go, jak nielitościwy czas nie
oszczędził pięknego Apolla. Choć
zmarszczki pod oczami i na twa-
rzy — prostował masażem, a ubra-
nie londyńskiego Poola, w korbach
piękną jego figurę trzymało — wy-
glądał wprawdzie jeszcze bardzo pię-
knie, lecz wcale niemłodo.

— Wygląda — zakonkludował
Romek — jak pierwszy amant sto-
łecznej sceny w roli 25-letniego księ-
cia, którą to kreację wybrał sobie
na 25-letni jubileusz swojej aktor-
skiej kariery.

Stary Tomasz, dwa razy tak
wyprostowany, jak na codzień —
wniósł na tacy jakieś odświętne wy-
kombinowane zakąski.

Wreszcie gospodyni domu dążąc
do jadalni z księdzem Zalewskim,
wskazała Horskiemu, aby poprowa-
dził do obiadu (który nazywał się
dziś un dejeuner dinatoire) panią Po-
lewską a pan Gleba Zosię.

I Romek na szarym końcu sto-
łu wciąż nie wiedział jeszcze, czy
chłubić się tą cząstką spadającego
splendoru rodzinnego i na niego, czy
też zazdrościć bratu.

Horski, ożywiony na przy-
jeździe, nie tak idyotycznie (we-
dług obserwacji Romka), jak ongi
młodszy brat, lecz najwidoczniej w
dobrym humorze — opowiadał o ra-
dości, jaka go spotkała na stacji ko-
lejowej: Oto zupełnie nieoczekiwanie
spotkał tam swego przyjaciela, „tego
pocziwego Eustachego“, który za-
powiedział mu swoją wizytę w Je-
drzejewicach, a „ta pocziwa Eusta-
chowa“ wymusiła nawet obietnicę,
że ich w Oazowie odwiedzi.

Przy stole zrobiła się na sekun-
dę cisza.

Figlarne oczy panny Zosi spot-
kały się ze wzrokiem matki, która
nagle opuszczeniem głowy za-
kończyła tę zbyteczną niemą roz-
mowę z córką.

— O! Księstwo odwiedzają Je-
drzejewice — bąknęła skromnie cio-
tka Benisia — najwyższej raz na trzy
lata. Droga dość odległa i niewy-
godna. Zresztą i progi za niskie.

— O! Eustachowie są tak po-
cziwi! — ujął się Horski.

Po śniadaniu, arcydzieła stare-
go kucharza, z wyszukanymi petits
plats i z hors d'oeuvre'ami, według

określonego ceremoniału stołeczna
„sława“ miała odwiedzić we wsi nie-
których chorych „o ciekawych obja-
wach“, do których wezwany z mia-
steczka dr. Borowski wzywał swego
znakomitego stołecznego kolegę na
konsultację.

A następnie gość, odpowiednio
przebrany (kostium z popielatego
aksamitu, krótkie spodnie, pończo-
chy, zielony miękki kapelusik z piór-
kiem i angielska strzelba first class)
wyjechał z panem Glebą łódką na
staw na dzikie kaczki.

Panowie zobowiązali się wrócić
o godzinie 8-ej na kolację, którą na-
zywano dziś obiadem, na którym
Horski wystąpił po raz trzeci od po-
łudnia przebrany — w smoking; ciotka
Benisia w jakiejś odwiecznej popie-
latej jedwabnej sukni a Zosia w ró-
żowej; nawet Romek uważał za sto-
sowne przypiąć czysty kołnierzyk.

Wieczorem w czerwonym salo-
nie, oświetlonym potrójną liczbą
lamp — Zosia grała na fortepianie;
Romka proszono, aby coś zadekla-
mował. Lecz prośba była niezbyt
natarczywa. Horski demonstracyj-
nie milczał.

Romek zapytał spojrzeniem Zo-
się; odrzekła mu oczami:

— Nie trzeba. Nie warci są
twojej deklamacji.

Rozkochane oczy Romka rzuciły
jej miłośne przypomnienie:

— Pamiętasz? Bachory!

Wiedziała, że wyraz „bachory“
zachwyca go nie tylko doborem sy-
lab i dźwiękiem jej głosu, lecz jedno-
cześnie przypomina mu powód jej
gniewu, z jakim skarciła w ten spo-
sób swywołną szczerą Janka.

Propozycja deklamacji pier-
cha.

Dalszy ciąg nastąpi.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI.

Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

9

SCENA 13.

LAFIRDECKI — potem ANTO-
NINA — SŁUŻĄCY.

*Lafirdecki chciał odpowiedzieć,
zatrzymał się, — robi szybko kilka
kroków w widocznym zdenerwowa-
niu, strzelił palcem przy ustach. Po-
strzega na biurku pudełko z cygara-
mi, wybiera starannie jedno, zapala,
— rozsiadł się wygodnie w fotelu.
Drzwiami w głębi wchodzi Antonina.
Po chwili w salonie odzywa się śpiew
Krystyny, sentymentalnie frywolna
piosenka).*

ANTONINA (*zbliżyła się do Lafir-
deckiego*) (*słodko*). Co pan tu robi?

LAFIRDECKI (*nie zmieniając
pozy*). Jestem zirytowany. To nie
jest spektakl seryo! To wogóle nie
jest dla nas żadne towarzystwo!

ANTONINA (*stanęła przy nim,
on zadął nogę na nogę*). Ja panu
powiem... oni nie mają żadnych ma-
nier! Panie zachowują się, jak w ka-
barecie!

(*W drzwiach zjawia się służący
z kieliszkami szampana na tacy*).

LAFIRDECKI. Niech-no radca
pokaże bliżej.

(*Służący podchodzi, Lafirdecki
podaje kieliszek Antoninie, sam bie-
rze drugi*). Pani!

ANTONINA (*ze słodkim spoj-
rzeniem*). Dziękuję (*trącają się*).

LAFIRDECKI. Zdrowie pani!
(*wypił duszkiem, stawia kieliszek na
tacy. Służący chce odejść*). Zaraz...
pani jeszcze nie wypila (*Antonina
stawia swój kieliszek na tacy, służą-
cy znów chce iść*). Zaraz... Co się
radca tak spieszy? (*bierze pełny kie-
liszek, podaje go Antoninie, sam bie-
rze drugi*) (*do służącego*). Niema
tam czem przegryźć?

SŁUŻĄCY (*Z godnością*). O
dwunastej będzie zimna kolacja (*Od-
chodzi do salonu*).

LAFIRDECKI. Widziała pani?
Nawet cieplej kolacji nie dadzą. Lo-
kaj w liberyi... dywany... obrazy... a
kolacja zimna... (*życzliwie*). Zamo-
czyła sobie pani nos... (*wraca do
toku rozmowy*). To nie jest żadne
towarzystwo! On powiada do mnie
przy damach: nie rób pan hrabiego!

ANTONINA (*oburzona*). Tak pa-
nu powiedział?

LAFIRDECKI. Tak. Ja do nie-
go kulturalnie: szanowny panie rad-
co! Każdego przyzwoitego człowie-
ka nazywa się radcą... albo redakto-
rem, — a on opryskliwie: ja nie je-
stem radcą! Czy to jest wychowa-
nie? Dlaczego pani nie siada? (*Anto-
nina przysuwa sobie fotel i sia-
da, — czasem kaszlnie od dymu,
który puszcza Lafirdecki z cyga-
ra, — obficie i bez ceremonii*).

ANTONINA (*wzniosła oczy do
góry*). A ta hiszpanka! Przepra-
szam, jak panu na imię?

LAFIRDECKI. Telesfor!

ANTONINA. Bardzo dystyngowane imię. Podoba się panu?

LAFIRDECKI (*nie rozumiał*). Moje imię?

ANTONINA. Nie,—ta hiszpanka.

LAFIRDECKI. Właśnie o nią poszło. I o panią. Ja jemu mówię jaknajgrzeczniej: tamta dama nie może tańczyć hiszpańskiego numeru. Ona skacze, jak gęś w deszcz po łące. Proszę pani, do hiszpańskiego numeru trzeba mieć duszę... trzeba mieć pieprz... Więc ja mu mówię: hiszpański numer powinna zrobić panna Materacyk.

ANTONINA (*uradowana*). Tak pan mówił?

LAFIRDECKI. Tak. A tę rozmazaną różę może sobie tańczyć, kto chce. Indyczka w tataraku też. Hiszpański taniec, mówię literalnie, wymaga pieprzu... (*trąca się kieliszkiem*). Zdrowie pani! (*pija*).

ANTONINA (*uradowana*). Za te słowa (*obejrzała się*) ucałowałabym pana Telesfora.

LAFIRDECKI (*zgodny*). Da się zrobić. Proszę. Tylko osuszyć nossek... (*Antonina w pośpiechu obtarła nos ręką — on ją przygarnia, całując się zgola dokumentnie*).

LAFIRDECKI (*smakowało mu*). Zamawiam sobie drugą porcję. Jak pani mówi?

ANTONINA. Tola... albo poprośtu Antka.

LAFIRDECKI. Tola, bardziej elegancko... Z pani będą ludzie! (*z autorytetem*). Pani możesz tańczyć... na mniejszej scenie.

ANTONINA (*podniecona*). Jabyłm okropnie chciała... ale numery solowe.

LAFIRDECKI. Dlaczego nie? Byłoby dobrą efektowny kostium, — dystyngowany, z boku dobrze rozcięty, żeby pokazać nogi... Niech-no pani wstanie!

Antonina wstaje posłusznie z fotela, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. On objął ją długim spojrzeniem znawcy, potem przesunął rękami po jej biodrach). Warunki są...

ANTONINA. Jakto?

LAFIRDECKI (*z wymownym gestem*). Niby ten... (*wstał, podniecony*). Możeby tak drugą porcję?

ANTONINA (*zadowolona*). Tak dobrze miema! Pan Telesfor ma apetyt!

(W salonie śpiew się skończył. Słychać oklaski, które przerwały grzanie czulej pary).

LAFIRDECKI. Mnie to już nie interesuje. Mogą sobie robić, co chcą... (*wchodzi z salonu Leński, prowadząc Krystynę, którą wziął poufale pod ramię*).

SCENA 14.

CIŻ — LEŃSKI — KRYSTYNA.

LEŃSKI. Jestem zły... jestem wściekły. Chciałbym, żeby pani straciła cały swój wdzięk, całą swoją urodę... żeby pani przybyło dwadzieścia pięć lat...

(Leński i Krystyna nie zwracają uwagi na Lafirdeckiego i Antoninę, którzy cofają się na prawo, ścigając ich niezbyt życzliwym wzrokiem).

KRYSTYNA (*śmieje się*). Tak się pan na mnie zawział?

LEŃSKI (*nie puszcza jej ramienia*). Tak. Mówiłbym sobie: widzisz, kochany przyjacielu, jak byłeś głupi, kochając się w tej szpetnej, starej i niemilej osobie. I czułbym ulgę (*obejmuje ją czułym spojrzeniem*). Bardzo pragnąłbym, żeby pani w ciągu jednego wieczora zbrzydła i zestarzała się.

KRYSTYNA (*j. w.*). Dziękuję panu. Czy pan to mówi każdej kobiecie, która... jak to pan mówi... nie chce być z panem szczęśliwą?

LEŃSKI. Może.

KRYSTYNA. Ewie również? (*Leński milczy*). Prawda, nie mówi pan, co się stało...

LEŃSKI (*spojrzał na Lafirdeckiego i Antoninę, którzy rozmawiają po cichu*). Cyt... W tych jednokowych sukniach są panie do siebie tak podobne, że zdaleka można się pomylić!

KRYSTYNA. Mnie się zdaje, że dla pana wszystkie kobiety są podobne... jak różę dla motyla... i że pan się często myli...

LEŃSKI. Chce pani usiąść?

KRYSTYNA. Dobrze... (*idą usiąść w głębi, tak jednak, że Krystyna odwrócona jest twarzą ku prawej stronie*).

LAFIRDECKI (*przesunął się z Antoniną na przód sceny*). To ma być eleganckie wychowanie! Przyszły i usiedli, jakgdyby nas tu wcale nie było. Gdyby nie to, że jestem cokolwiek głodny i że mamy jeszcze zrobić próbę z kadryla, jużby mnie tu nie było.

ANTONINA. Gdyby pan konieczne chciał, to moglibyśmy zwiać. Kolację możnaby zjeść na mieście.

LAFIRDECKI (*spojrzał na nią życzliwie*). To prawda!

ANTONINA. Musi pan czekać na tego kadryla?

LAFIRDECKI. Właściwie... honorary wziąłem z góry.

ANTONINA. Więc cóż tam dbać o nich!

LAFIRDECKI (*pomacał się po piersiach*). Tylko że nie spodziewa-

jąc się takiej okoliczności, nie wziąłem pugilaresu.

ANTONINA. O to niech pana Telesfora głowa nie boli... (*potrzęsa torebką*). Wystarczy... Ja mam płaszczyk w salonie. Wysunę się nieznacznie do przedpokoju...

LAFIRDECKI (*wskazuje drzwi na lewo*). Ja będę...

ANTONINA (*śmieje się*). Zdrowy kawał, jak babcię kocham!

SCENA 15.

WSZYSCY.

(Drzwi na prawo otwierają się i ukazuje się w nich Hamelbein, przebrany za tyrolczyka, za nim prezes i August).

ADAM (*w drzwiach, do Augusta*). Ja nie mam żadnego humoru, żadnej ochoty. Pan nie masz zupełnie racji, gwałtuując mnie w to przebranie... (*postrzegł Leńskiego i Krystynę, którą wziął za Ewę — gwałtownie*). Widzisz pan? Ewa! (*postępuje ku nim porywczo*).

(Leński i Krystyna wstają).

ADAM (*postrzegł pomyłkę, stropiony*). Przepraszam!

LEŃSKI (*mówi szybko, żeby nie dać przyjść do słowa Hamelbeinowi*). Czekamy na pana z niepokojem i niecierpliwością! Świetnie pan wygląda! Kostyum doskonały... (*ściska go za rękę, której Hamelbein, acz niechętnie, nie śmie odmówić*). Zaraz rozpoczynamy próbę z pańskiego numeru... (*idzie szybko ku drzwiom salonu*). Proszę państwa... jest pan Hamelbein...

(Wchodzi Hrabina, Lola, Dzidzia, Koskiewicz, na końcu Ewa, która trzyma się na uboczu, niespokojna).

LEŃSKI. A gdzie trąbka?

PREZES. Jest... (*wtyka Hamelbeinowi w rękę trąbkę*).

LOLA (*do Adama*). Niech pan zagra! To takie interesujące!

LEŃSKI. Zaraz zagra... Naturalnie!

ADAM. Ja przepraszam państwa... jestem nieusposobiony.

WSZYSCY. To nie może być! Musi pan zagrać! Musi pan!

ADAM (*rozpaczliwie*). Kiedy ja nawet nie będę miał dechu!

HRABINA (*przytyka mu trąbkę do ust*). Prawdziwy artysta panuje zawsze nad nerwami.

DZIDZIA. Panie Adamie! Czekamy!

WSZYSCY. Czekamy!

(Prezes, zaniepokojony brakiem wśród towarzystwa Antoniny, rozpoczął poszukiwanie po wszystkich pokojach).

LEŃSKI. Panie Hamelbein! Nie można odmawiać paniom! (do Krystyny). Niech pani nalega.

KRYSTYNA. Pan nam odmawia?

LEŃSKI (w stronę salonu). Muzyka! Powitanie lasu!

HRABINA (znów przytyka trąbkę). Jak jemu do twarzy z tą trąbą... No, panie Adamie!

ADAM (j. w.). Panie mi robią duże zmartwienie... (muzyka w salonie zaczyna grać „Powitanie lasu“). Ja każdym innym razem... bardzo chętnie...

PANIE. Nie! Nie... Teraz...

(Lola przytyka mu trąbkę. W drzwiach od salonu stanął służący z tacą z winem).

ADAM (wreszcie kapitułuje, zrezygnowany). Co ja mam robić! (przytyka trąbkę, nadyma się, zaczyna grać. Wszyscy słuchają z uśmiechem).

(Z prawej strony wpada zaafektowany prezes).

PREZES. Przepraszam, państwo nie wiedzą, co się stało z panną Materasówną?

(Oznaki niezadowolenia, że przeszkodził. Okrzyki: nie! nie! Adam, nie rozumiejąc, o co chodzi, przerywa i wodzi pytającym wzrokiem).

LEŃSKI (niecierpliwie). Przed chwilą tu była. Rozmawiała z Lafirdeckim.

PREZES (bardzo poruszony). Nigdzie jej niema! Pana Lafirdeckiego również.

SLUŻĄCY (zbliżył się nieco). Ci państwo, proszę jaśnie pana, ubrali się i wyszli.

PREZES (j. w.). Wyszli? Gdzie wyszli?

SLUŻĄCY. Tego nie wiem. Pani kazała sprowadzić dorożkę i podnieść budę.

LEŃSKI. Nie można przerywać! Muzyka! (muzyka w salonie zaczyna grać).

PANIE (do Adama). Prosimy! prosimy!

(Adam zaczyna znów trąbić).

PREZES (siada z głębokiego wrażenia, bezradny). Kazała podnieść budę!

Zasłona spada.

Koniec aktu II-go.

H. JELENKIEWICZ.

Oryentacya.

Adzie, co ma sute wiano,
Do wyboru aż dwóch dano:
Wybieraj, by być wybraną.

Panna, co ma taką rentę,
Ta festina może lente,
Zaproś obu ich na wentę.

Chi va piano, ten va sano,
Sprawdź przez kogoś jest kochana.
Jeden owies miał, a siano

W głowie drugi.
Jeden rodem był z Katugi
Drugi także robił dług.

Lecz który dla twej ochrony
Więcej złoży ci mamony,
Ten niech będzie poślubiony.

Cristal. Podwieczorek. Taca.
Ada oczami przewraca...
To też dobroczynna praca!

Wchodzi pierwszy, wchodzi drugi,
Ten, co rodem jest z Katugi
I ten, co ma także dług.

Jeden składa rubli pięć,
„Papo, ciesz się, jest już zięć,
Do rodziny z wieścią pedź!”

Dziesięć marek drugi składa.
Znów się wzrusza panna Ada:
„Tegom też poślubić rada”.

Jakie są dziś marki kursa?
Czyja jest hojniejsza bursa?“
Więc wymyśla te konkursy:

„Kto mniej zje na podwieczorek,
Temu oddam złota worek,
K'temu skłoni mnie Amorek...”

Gdy ujrzelś ciastek tacę,
Obaj rzekł: zjem, bo płacę,
Niech wiem, na co pieniądź tracę.

Ten, co rodem był z Katugi,
Zjadł za rubli pięć, a drugi
Resztę zjadł... „gdzie zastugi?

Za pieniądze zjeść do syta,
To miłości są limita.
Zerwę z nimi. No i kwita!”

Więc się nie na żarty dąsa,
Ostrem słowem obu kasa.
Przy sąsiednim stole wąsa

Utan kręci od Ostoi,
Śląc uśmiechy do dziewoi.
Ada tego się nie boi:

„Da pan biednym coś w ofierze?“
„Oto dukat... lecz kto daje, ten i bierze”.

Koniec epopei długiej:
Nie wziął panny ten z Katugi.
Ani też amator drugi.

Bo to rzecz jest oczywista:
Gdzie jest dwóch, to tam skorzysta:
Trzeci — zwłaszcza, legionista.



Kobiety, które się nie starzeją.

Ludzie żyją teraz dłużej przeciętnie, niż dawniej, mężczyźni dłużej zachowują sprawność w pracy, kobiety dłużej zachowują swe uroki. Jeszcze pokolenie Balzaca zdziwiło się, gdy obserwator ten kazał się kochać, naiwnie i ognie, sercem i zmysłami „kobiecie trzydziestoletniej”; w parę dziesiątków lat potem Malot dał literaturze miłość „kobiet czterdziestoletniej”. Dziś nie bliźyśmy wielce zgorzeleni, gdyby jakiś spozstrzegacz utalentowany odmalował soczystymi farbami miłość kobiety, powiedzmy, czterdziestopięcioletniej, a to mogłaby być niekoniecznie „ostatnia” miłość”. Słynna z długotrwałości swych ponęt Ninon de Lenclos była wyjątkiem swej epoki. (Pamiętacie tę piękność, która na starość zdobyła miłość swego rodzzonego syna, tak namiętną, że doprowadziła go aż do samobójstwa). W naszej epoce znalazłaby się, niejako, w masie. Oto znany angielski pisarz, Harry Bell, przedmiot ten studjuje nieco bliżej i donosi, na pociechę płci pięknej, że w samym Nowym Yorku znalazł wiele kobiet starych, które ani trochę się nie zestarzały. Te wymienia z imienia i nazwiska, co nam daje gwarancję, że studya odbył autentyczne.

Oto więc pani Honnton, niedawno zmarła wdowa po miliarderze, znana jako „najbogatsza kobieta na świecie”. W młodości była szykowną i pociągającą, ale bynajmniej nie bajecznie piękną. Prawdziwie piękną stała się dopiero po skończeniu lat pięćdziesięciu. Nikt nie dawał jej więcej nad trzydzieści lat w czasach, gdy już przekroczyła sześćdziesiątkę. Prawie do końca życia grywała w tenisa z młodocianą ruchliwością i elastycznością ciała. W sześćdziesiątym szóstym roku otrzymała nagrodę na turnieju tenisowym. Podobno nie zupełnie sprawiedliwie, jak szeptano wówczas: sędziami byli mężczyźni i kierowali się, stroniąc nieco, nie tyle dzielnością sportową konkurentek, ile ich wdziękami... Sędziwa piękność uprawiała zresztą wszystkie sporty: klusa i galopa, wiosło i rapier. Otaczał ją stale dwór wielbicieli, których nie można było posadzić o polowanie na posag, byli to bowiem przeważnie miliarderzy z Piątej Alei nowojorskiej. Pani Honnton dawała słynne kolacje w swoim pałacu, podczas których bawiono się z zapomnieniem o reszcie świata, jak tylko zdolna jest się bawić młodzież na progu życia.

P. Harry Bell otrzymał raz zaproszenie na taką ucztę, opromienioną urokiem nieporównanym kobiety zupełnie już siwej. Nie byłby dziennikarzem, ani nawet wogóle inteligentnym człowiekiem, gdyby nie zrobił z siwowłosą pięknością wywiadu na temat:

Co robi ona, aby tak długo zatrzymała młodość?

Oto jej recepta:

— Sporty i umiarkowanie; mało mięsa i gorąca kąpiel, zwyczajem japońskim, dwa albo i trzy razy na dzień, po pół minuty mniej-więcej; dłuższy pobyt

w kąpieli usposabia sennie i źle działa na skórę.

— A środki kosmetyczne?

— Żadne.

Pani Daisy Lewis niemniej jest w późnym wieku uroczą, a jeszcze więcej od poprzedniej pani niebezpieczną, ponieważ lubi hołdy i często je prowokuje. Jako babka, ma zwyczaj ukazywania się w publicznych miejscach z którąkolwiek ze swych wnuczek, zwykle z najpiękniejszą z nich. Dzięki temu ta piękna wnuczka — nie może wyjść za mąż.

— Ile razy przybliży się do mnie kandydat na konkurenta — mawia ona ze śmiechem, nieraz może nieco kwaskowatym — zawsze mi go babcia zdmuchnie.

Pani Lewis zachowuje, mimo lat, które nie są dla niej ciężarem, skórę tak delikatną i jutrzenkowo różową, jak wyjątkowo która z młodych dziewcząt.

— Co pani robi w tym celu? — spytano jej.

Odpowiedziała z całą szczerością:

— Nic.

Oto — jeszcze jedna recepta... I bynajmniej nie kosztowna.

Życie pani Lewis jest zresztą nieco burzliwe: ona jest kokietką, jej mąż za-zdrośnikiem.

Pani Gwendolina Graham, żona jednego z magnatów stalowych, konserwowała się również świetnie. W siedemdziesiątym piątym roku nosi jeszcze białe suknie i ani trochę w nich nie jest śmieszna; śnieg jej włosów dziwnie się harmonizuje z kontrastem różu jej policzków i wiśni jej ust. I ona wygrywa konkursy tenisowe.

Jej system:

Również sporty, również umiarkowanie w jedzeniu, w picu, w rozkoszy. Jak najmniej bali i wieczorów; bardzo wcześnie w łóżku.

Na jedno musimy zwrócić uwagę naszych czytelników: Harry Ball szczególnie łatwo znajdował sędziwe, siwowłose piękności w sferze miliarderek amerykańskich. Należy stąd wnosić, że już sama sfera ta wywiera dobroczynny wpływ na zachowanie młodości kobiecej. Stąd jeszcze recepta, którą zapisujemy dla użytku naszych nadobnych czytelników:

„Należy wyjść za mąż za miliardera”.
Vivus.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

9

Razumow obudził się po raz dziesiąty może i widząc, że biały dzień zagląda przez okno, oparł się chęci zaśnięcia znowu. Nie pamiętał nic, ale nie zdziwił się, że spał na sofie w płaszczu i przeziął do szpiku kości. Światło wlewające się przez szyby do wnętrza, wydało mu się dziwnie bezbarwne, beznadziejne. Było to przebudzenie się śmiertelnie chorego człowieka lub dziewięćdziesięcioletniego starca. Spojrzył na lampę, która się doszczętnie wypaliła, a teraz stała wśród porozrzucanych papierów i książek, ta wierna towarzysza jego pracy, jak sprzęt zbędny i bezużyteczny.

Razumow wstał i machinalnie zawiesił płaszcz na kołku. W duszy jego panowała bezbrzeżna martwota, a w domu zupełna cisza.

Odwróciwszy się od wieszadła, pomyślał tępo, że musi być jeszcze bardzo wcześnie, ale spojrzawszy na zegarek, zobaczył, że obie skazówki stoją na dwunastej.

— Ach! tak — mruknął i rozejrzał się po pokoju, jakgdyby zaczynając otrząsać się z odrętwienia. Uwagę jego zwrócił wbity w tapetę papier. Popatrzył na niego zdaleka obojętnie, ale gdy usłyszał w przedpokoju służącą krzątającą się koło samowara, zdarł go ze ściany i spoj-

rzał na łóżko, na którym nie spał tej nocy. Wgłębienie, które ciężar głowy Haldina wytłoczył w poduszce, było jeszcze widoczne.

Ale nawet ten ślad obecności tego Haldina nie sprawił na nim wrażenia. Razumow spędził cały dzień beczynnie, nie umył się nawet i nie uczesał. Nie pomyślał też o wyjściu z domu; jak wogóle nie pomyślał o niczem, nie dlatego, żeby był niezdolnym do myślenia, lecz, że mu się po prostu nie chciało.

Ziewał często, pilł całemi szklankami herbatę, chodził po pokoju bez celu, a gdy usiadł, nie ruszał się długo. Czas jakiś spędził przy oknie, bębniąc spokojnie palcami po parapecie. Raz przypadkiem ujrzał odbicie własnej twarzy w lustrze i to go zastanowiło. Oczy, które patrzyły na niego ze zwierciadła, były najnie-szczęśliwsze, jakie kiedykolwiek widział.

I po raz pierwszy w ciągu dnia zaczął myśleć. Nie odczuwał żadnych duchowych cierpień; pomyślał tylko, że życie wyjałowione ze szczęścia było niemożliwością. A czem było szczęście? Ziewnął i zaczął znów chodzić po pokoju, powłócząc nogami. Oczekiwanie czegoś, oto co jest szczęście, nic więcej. Oczekiwanie zaspokojenia jakiegś żądy,

ambicyi, miłości, nienawiści — nienawiści także niewątpliwie. Miłości i nienawiści. A życie bez troski, bez obawy, bez niebezpieczeństw, to również było szczęście. Nic więcej.

— O! nędzna ludzkości! — wykrzyknął w duchu i dodał natychmiast: — W takim razie ja powinienem być zupełnie szczęśliwym.

Ale ta pewność nie ucieszyła go. Przeciwnie ziewnął znowu, jak ziewał cały dzień. Zapadający wieczór zdziwił go zlekka. Jakże się to stało, że nie zauważył, iż dzień minął? Oczywiście, dlatego, że zegarek stanął.

Nie zapalił lampy, ale rzucił się na łóżko bez wahania i leżał na wznak, podłożywszy ręce pod głowę i patrząc w górę. Po niejakiem czasie pomyślał:

— Leżę tu, jak on. Ciekawa rzecz, czy tu spał, podczas gdy ja błądziłem po ulicach, w zadymce. Nie; nie spał. Ale dlaczego ja bym nie miał spać? — i uczył, że cisza nocna zwała się na niego, jak ciężar.

Przeleżał tak, aż w mroźnem powietrzu na zewnątrz zegar miejski wydzwonił dobitnie północ.

Razumow zaczął znowu myśleć. Upłynęło już dwadzieścia cztery godzin, odkąd ten człowiek opuścił jego mieszkanie. I raptem nabral pewności, że Haldin usnął tej nocy w twierdzy. Rozgniewało go to, bo nie chciał myśleć o nim, a niemniej tłumaczył sobie tę pewność fizyologicznymi i duchowymi przyczynami. Haldin, jak sam to mówił, nie sypiał po nocach od kilku tygodni, a teraz skończyła się wszelka niepewność. Pozostało mu tylko oczekiwać końca męczeństwa. Człowiek, który zdecydował się zabić, godzi się łatwo z własną śmiercią. Haldin spał może smacznie, niż generał T..., którego zadanie — ciężkie zadanie również — nie było spełnione i nad którego głową wisiał miecz rewolucyjnej zemsty.

Razumow, przypomniawszy sobie tego szampiona autokracji, który nie okazał ani zdziwienia, ani niedowierzania, ani radości, ale którego zezowate oczy wyrażały śmiertelną nienawiść wszelkiego buntu, poruszył się niespokojnie na łóżku.

— Podejrzewa mnie — pomyślał. — Sądzę, że podejrzewa każdego. Byłby zdolny podejrzewać własną żonę, gdyby Haldin był poszedł do jej buduaru ze swoim wyznaniem.

Usiadł na łóżku zatrwożony. Czyż ma zostać politycznie podejrzanym do końca życia? Tajna policja będzie śledzić jego kroki. Jakiejże przyszłości może się spodziewać w takich warunkach?

— Jestem teraz podejrzany — pomyślał znowu, ale rozważa, i to pragnienie bezpieczeństwa, i spokojnego życia, które w nim było tak silne, przyszło mu w pomoc. Jego pracowita, prawidłowa egzystencja zawży wreszcie na szali jego lojalności. Było przecież tyle dozwolonych sposobów służenia krajowi. Można być czynnym i popierać postęp, nie będąc rewolucjonistą.

Pole działania było nieskończone wielkie i urozmaicone, byle się tylko człowiek wybił na wierzch.

I znowu myśli jego, jak ptak kołujący, wróciły po dwudziestu czterech godzinach do srebrnego medalu i zostały już przy nim.

Nie zmrużył oka przez całą noc, ale gdy dzień zaświtał, wstał czując się prawie wypoczętym i zdolnym do wszelkich praktycznych zajęć.

Poszedł na ranne wykłady, ale praca w bibliotece nie szła mu jakoś. Siedział wśród poctwieranych książek, siląc się na robienie notatek i wyciągów. Odzyskany spokój — taki zupełnie nowy rodzaj spokoju — był, jak perz, ulatujący za łada dwuchnięciem. Zdrada!... Jakże? Toż tamten uczynił wszystko, żeby się zdradzić... Czego więcej było potrzeba?... Tyle co nie.

— Nie powiedziałem mu ani jednego słowa, które nie było ścisłą prawdą. Ani jednego słowa — usprawiedliwiał się sam przed sobą Razumow.

Ale wśród takich myśli, nie mogło być mowy o pracy z pożytkiem. Razumow pozamykał książki i wpakował wszystkie swoje papiery do kieszeni, wściekły w duchu na Haldina.

Gdy wychodził z biblioteki, wysoki, kościsty student w zniszczonym paltocie przyłączył się do niego. Razumow odpowiedział na jego ciche powitanie nie podnosząc oczu.

— Czego ten chce odemnie? — pomyślał z dziwną obawą czegoś niespodzianego, którą napróżno usiłował zwalczyć, rozumiejąc, że taki wampir, raz go się uczepiwszy na dobre, mógłby wyssać z niego życie do ostatniej kropli. A tamten, patrząc w ziemię, szeptał ostrożnie, że zapewne kolega czytał, iż sprawca zamachu na prezesa ministrów został aresztowany onegdajszej nocy.

— Byłem chory — nie wychodziłem z domu — mruknął Razumow przez zęby.

Wysoki student, podniósłszy w górę ramiona, wsadził ręce głęboko w kieszenie. Miał kwadratowy, bezwłosy podbródek, który drżał lekko, gdy mówił, a jego zaczerwieniony od mrozu nos wyglądał, jak przyprawiony pośród bladych, zapadniętych policzków. Cała jego powierzchowność

napiętnowana była chłodem i głodem. Szedł uparcie obok Razumowa z oczyma utkwionemi w ziemię.

— To jest urzędowa wiadomość — mówił dalej. — Może być kłamliwa. Ale że aresztowano kogoś we wtorek w nocy pomiędzy dwunastą a pierwszą, to pewne.

I szybkim szeptem powiedział Razumowowi, że wie to od pewnego niższego urzędnika z Centralnego Sekretaryatu, który należy do pewnego rewolucyjnego kółka.

— Do tego samego, co ja — zauważył.

Szli obszernym placem. Bezbrzeżna trwoga opanowała Razumowa, paraliżując jego energię. W oczach mu się ćmiło. Nie śmiał rozstać się ze studentem.

— A może on należy do policji — pomyślał. — Któż to wie?

Ale spojrzawszy na zmarzniętą, wygłodzoną postać towarzysza, zrozumiał niedorzeczność takiego podejrzenia.

— Ja bo, widzicie, nie należę do żadnego kółka. Ja...

Nie śmiał dodać nic więcej. Nie śmiał również zwolnić kroku. A tamtem stawiając uważnie swe nędzne obute stopy nadmienił cichym głosem, że należenie do jakiejś organizacji nie było koniecznem. Najcenniejsze jednostki pozostawały na zewnątrz. Poczem bardzo prędko, drżącemi ustami wyszeptał:

— Ten aresztowany to Haldin!

I widząc nieme przerażenie malujące się na twarzy Razumowa, oo zresztą wydało mu się całkiem naturalnem, upewnił go, że to była rzecz dowiedziona. Ten urzędnik był owej nocy na służbie a słysząc hałas i liczne stapania w sieni, i wiedząc, że przyprowadzano czasem nocą politycznych przestępców z twierdzy, otworzył nagle drzwi kancelaryi, w której pracował. Zanim stojący na warcie żandarm wepchnął go do środka i drzwij mu przed nosem zatrzasnął, zdążył zobaczyć więźnia, którego policjanci ciągnęli przez sień, szarpając go brutalnie. I poznał doskonale Haldina. A w niespełna pół godziny potem, generał T... przyjechał do biura, by osobiście zbadać więźnia.

— Nie dziwi was to? — zakończył chudy student.

— Nie — odparł Razumow szorstko i natychmiast pożałował tej odpowiedzi.

— Wszyscy myśleli, że Haldin wyjechał na wieś, do rodziny. A wy?

Student podniósł swe wielkie, zapadłe oczy na Razumowa, a ten rzekł niebacznie:

— Jego rodzina jest za granicą.

Ugryzł się w język ze złości, ale już było za późno. Student wymówił znacząco:

— Ach tak. I wy tylko wiedzieliście — i umi!.

— Oni się wyraźnie sprzyślegli na moją zgubę — pomyślał Razumow.

— Kolega mówił to jeszcze komu? — zapytał z gorzką ciekawością.

Tamtem wstrząsnął głową.

— Nie. Wam tylko. W naszym kółku myśłano, że ponieważ Haldin wyrażał się często z największym uznaniem o waszym charakterze...

Razumow nie mógł powstrzymać poruszenia wścieklej rozpacz, co tamten musiał sobie błędnie wytlómaczyć, bo przestał mówić i odwrócił swe czarne, pozbawione blasku oczy.

Szli czas jakiś obok siebie w milczeniu. Poczem chudy student począł znów szeptać:

— Ponieważ nie mamy nikogo z członków pośród służby w twierdzy i niema sposobu przesłać mu trucizny, postanowiliśmy zaprotestować czynnie i wkrótce...

Razumow przerwał:

— Znaliście Haldina? On wiedział, gdzie mieszkacie?

— Miałem szczęście słyszeć go przemawiającego dwa razy — odpowiedział tamtem gorączkowym szepczeniem, szczególnie sprzecznym z jego posępnym, apatycznym wyglądem. — Nie wiedział mego adresu. Mieszkam kątem przy ubogiej, rzemieślniczej rodzinie. Widzieć się tam ze mną niezbyt wygodnie i bezpiecznie, ale gdybyście mnie potrzebowali, jestem gotów...

Razumow aż się zatrząsł z trwogi i wściekłości. Zdławionym głosem wymówił cicho:

— Nie zbliżajcie się do mnie. Nie odzywajcie się do mnie. Ani słowem. Zakazuję wam.

— Bardzo dobrze — odpowiedział tamten posłusznie, nie okazawszy żadnego zdziwienia z powodu tego zakazu. — Macie swoje powody... Rozumiem...

Odsunął się natychmiast i przeszedł ukosem na drugą stronę ulicy, chudy, ziębnięty, ze spuszczoną głową, stąpając w szczególnie miarowy sposób.

Razumow spoglądał za nim z takim uczuciem, jakgdyby patrzył na znikającą, senną marę, poczem szedł dalej, starając się nie myśleć. W sieni oczekiwała go gospodyni. Była ta niska, krępa kobiecina z wielką, żółtą twarzą, wiecznie owiazaną czarnym, welnianym szalem. Gdy ujrzała Razumowa, podniosła ręce i splasnęła w dłonie.

— Kiriło Sidorowicz — odczłuku — cóżście najlepszego zrobili? I to taki spokojny, porządny młodzieniec! A toż policja tylko co wyszła z waszego mieszkania!

Razumow popatrzył na nią badawczo. Jej obrzękła, żółta twarz drgała wzruszeniem. Splasnawszy znów w ręce powtórzyła:

— Dość na was spojrzeć, żeby się o tem przekonać. A teraz... raptem! Potrzebnie wam zadawać się z temi nihilistami? Rzućcie to, odczłuku. To są nieszczęśliwi ludzie i przynoszą innym nieszczęście.

Razumow zlekka wzruszył ramionami.

— Albo może jakiej nieprzyjacieli was oczernił, Kiriło Sidorowicz. Teraz o to nie trudno. Aż strach żyć na świecie.

— Czyście słyszeli, że mnie ktoś zadenuncyował? — zapytał Razumow, nie odwracając oczu od jej drgającej twarzy.

Ale ona nic nie słyszała. Próbowала wybadać rewirowego, podczas gdy jego ludzie przetrząsali pokój. To ludzki człowiek i zna ją od jedenastu lat. Ale tylko tyle jej powiedział:

— Nie pytajcie mnie o nic, dobra kobieto. Ja sam nic nie wiem. Rozkaz przyszedł od wyższej władzy.

I rzeczywiście, wkrótce po wejściu policyj, zjawił się jakiś pan w futrze i błyszczącym kapeluszu, usiadł przy stole i sam papiery przeglądał. Przyszedł sam i odszedł sam, nie ze sobą nie wzięwszy.

A ona, ot, teraz porządkuje trochę.

Razumow odwrócił się i wszedł do mieszkania.

Wszystkie książki leżały porozrzucone na podłodze. Gospodyni, która weszła za nim, schyliła się z trudem i zaczęła zbierać je w fartuch. Papiery i notatki, zawsze tak starannie poukładane, tworzyły teraz bezładny stos pośrodku stołu.

Nieporządek ten wstrząsnął nim nad wszelki wyraz. Usiadł i patrzył, i wydało mu się, że całą jego egzystencję podminowano w jakiś tajemniczy sposób; że wszystkie jego moralne podpory rozpadają się w gruzy. Doznał nawet lekkiego zawrotu głowy i machinalnie obejrzał się, szukając oparcia.

Gospodyni, podniósłszy się z ciachem stęknieniem, wysypała wszystkie książki z fartucha na sofę i wyszła, mrucząc i stękając.

Teraz dopiero Razumow zauważył, że ćwiartka papieru, która przez jedną noc tkwiła w tapecie nad jego pustym łóżkiem, leży na wierzchu innych papierów.

Gdy ją zdjął poprzedniego dnia, machinalnie złożył ją we czworo i rzucił na stół. A teraz leżała na wierzchu rozłożona, wygładzona, przykrywając sobą cały ten bezładny stos, zawierający opowieść jego intelektualnego życia w ciągu ostatnich trzech lat. Położono ją tam wygładzoną! Razumow dopatrzył się w tem jakiegoś głębszego znaczenia — a może ironii niewytłómaczonej.

Siedział wpatrując się w tę ćwiartkę, aż go oczy zabolaly. Ale nie wziął się do uporządkowania papierów, ani tego wieczora, ani następnego dnia, który spędził w domu, w stanie osobliwej niepewności. Ta niepewność odnosiła się ni mniej ni więcej tylko do pytania, czy ma żyć dalej. Ale nie było w tem żadnego podobieństwa do wewnętrznej rozterki człowieka, zamierającego popełnić samobójstwo. Myśl taka nie powstała nawet w głowie Razumowa. I nie wchodziła tu w grę jego cielesna powłoka, ten kształt widomy, który chodził, oddychał, spał, jadł. On myślał o owym Razumowie przyszłości, o tej moralnej jednostce, wydanej na pastwę bezlitosnej autokracji i równie bezlitosnej rewolucji. Obie te potęgi wydawały mu się tak przemożne, iż zadawał sobie pytanie, czy wogóle warto było spełniać umysłowe funkcje istnienia, które już nie było jego własnością.

— I na cóż się zda pracować, rozwijać inteligencję, wytknąć sobie jakiś systematyczny plan postępowania? — myślał ponuro. — Ja chcę kierować się rozsądnymi przekonaniem, ale czyż mnie to zabezpieczy od jakiejś bezprawnej napaści, tu, w mojem własnym mieszkaniu?

Spojrzał bojaźliwie ku drzwiom przedpokoju, jakby w oczekiwaniu, że jakaś wroga moc naciśnie kłanek i stanie przed nim w milczeniu.

— Pospłity złodziej — pomyślał — znajduje więcej rekojmij w prawie, które łamie i nawet takie bydle, jak Ziemianicz, ma jakąś pociechę.

I Razumow pozazdrościł losu złodzieja i pijaka. Skutki ich postępów były zawsze jasne i życie należało do nich.

Ale usnął tej nocy tak twardo, jakgdyby się był pocieszał na sposób Ziemianicza. Zbudził się w posępnym, ale już zrównoważonym nastroju, i jakby z jakimś nowym uświadomieniem swego ja. Spojrzał drwiąco na stos papierów na stole i poszedł do uniwersytetu, mruknawszy:

— Zobaczymy.

Dalszy ciąg nastąpi.

Z literatury.

Prof. dr. Józef Nusbaum-Hilarowicz. — Szlakami nauki ojczystej (życiorysy znakomitych biologów polskich 18 i 19 wieku). Warszawa. 1916. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem im. dra J. Mianowskiego.

Prof. Nusbaum-Hilarowicz do szeregu swych zasług dorzucił jeszcze jedną. Niewątpliwie bowiem dużą zasługą jest wydanie życiorysów całego szeregu uczonych polskich. Książki takiej brak było u nas bardzo, — zbyt mało bowiem wie nasze społeczeństwo o tych, którzy wysoko podnieśli sztandar nauki polskiej. Nie dziw, że nie wie o nich szerszy ogół, ale nazbyt często, jak na to słusznie zwraca uwagę autor, nawet wśród młodzieży uniwersyteckiej spotyka się ludzie, dla których obcymi są nazwiska przyrodników polskich. Zadaniem tej książki jest własne zaznajomienie społeczeństwa z ich życiem, działalnością i pracami naukowymi. Cel ten autor osiągnie niewątpliwie. W tych z natury rzeczy krótkich lecz możliwie wyczerpujących życiorysach przesuwają się nam, jak w kalejdoskopie, cały szereg postaci zasłużonych i czcigodnych. Jak żywe, wstają przed nami słoneczne postacie Tytusa Chałubińskiego, Władysława Taczanowskiego, Henryka Hoyer'a i innych. Czytając tę książkę, czuje się dla autora wdzięczność, że ją napisał. Książka ta, którą każdy wykształcony polak winien przeczytać, powinna się przedewszystkiem dostać do rąk młodzieży. *Janusz Domaniewski.*

Widnokreśli wychowawcze.

Kwestya wychowania narodowego jest troską wszystkich światłych umysłów. Sprawy szkolne nie schodzą z porządku dziennego debatów publicznych w państwach i narodach całego świata. I nie dziwno: dobra szkoła tworzy pożytecznego i dzielnego obywatela. W kwestyi tej zabiera głos obecnie prof. Konrad Chmielewski w broszurze p. t. „Widnokreśli wychowawcze”. Na sercu leży mu przedewszystkiem szkoła ludowa i chciałby ją widzieć w Polsce dzwigniętą przez lud dla ludu i rządzoną tylko przez lud. Prof. Chmielewski twierdzi, że szkoda ta „ma powstać nie z darowizny, nie z cudu, — a z kooperatywy sił, mocy, duszy”. Jako zwolennik przyrodnictwa w szkole, chciałby przytem autor zaszczerpić tej szkole, jak i każdej innej w Polsce, ukochanie słońca. Słońce musi się stać wychowawcą, bo „gdzie nie wchodzi słońce, tam wejść musi lekarz”. I „samookreślenie narodowościowe dziecka powinno być mocne, wyraźne,

tak jak wypierzenie się pisklęcia, jak wykolorowanie rozwiniętego kwiatka, jak czystość wody nowopowstałego kryształu” (Str. 36). Z racyi tych prof. Chmielewski wypowiada cały szereg interesujących uwag, zaczerpniętych z życia praktycznego w szkole naszej. Książeczka prof. Chmielewskiego zasługuje na popularyzację. Powinny ją przeczytać sfery zainteresowane. Zapewne nie wszystkie idee w niej zawarte są krytycznie przemyślane od podstaw aż do szczytów, ale myśli te inspirują, dają materiał do samodzielnych rozważań. Szkoda tylko, że autor, umiejscy tak barwnie, dosadnie wypowiadać swoje poglądy, nie zawsze panuje nad językiem i składnią. Wprowadza przytem cały szereg nowotworów, które wcale nie pomagają do ułatwienia w orientowaniu się w poglądach czy dowodzeniach. Mimo to jednak nie należy obniżać wartości ideowej „Widnokreśli wychowawczych” prof. K. Chmielewskiego, gdyż refleksye w nich zawarte pochodzą od umysłu wrażliwego i twórczego.

Czy istnieje polityka chrześcijańska?

„Kronika Rodzinna” wydała w polskim przekładzie dla użytku chrześcijańskiej-demokracji wykład profesora „L'institut catholique” w Paryżu O. Sertinlanges'a p. t. „Czy istnieje polityka chrześcijańska?” Na pytanie to odpowiada broszura twierdząco, co zresztą jest ogólnie wiadome.

Tetmajerowskie cienie.

Śladem żołnierza polskiego szedł już Tetmajer w „Końcu Epopei”. Śpiewał nieuczona żołnierską piosenkę i odbył kalwaryę pochodu na Moskwę, by później wyprowadzić hufiec polski nad Elstere. W roku wojny narodów Tetmajer powrócił do swoich ukochanych wiarusów. Napisał rapsod historyczny „o żołnierzu polskim”. Obecnie zaś dał tomik „cieni” dręczących. Zwidziały mu się w „Maryackim kościele” dziwne rozhowy „Czarnej pani” z „Aniołem na wysokościach”, „Z Przecuciem”, „Zwątpieniem”, „Sercem”. Rozhovor o tym, co legł „z bagnetami w piersiach”. I śpiący rycerze w Tatrach przebudzili się w wizyi Tetmajerowskiej, by wolać „już czas, już czas”. Ciż sami żołnierze przyszli do chaty piastowej i przynieśli „z ziół i kwiatów koronę”. Zwidy te, jak mgły, jak opary, nabierają krwi dopiero w zestawieniu z poemacikiem p. t. „Achilles”. Tetmajer w oktawie pełnej wyrazu powie:

O karabinie polskiego żołnierza,
śmiertelny kwiecie bujny ponad kwiaty!
W tobie lud święci broń swego rycerza,
w przędzy mąk swoich wijąc cie

[szkarłatny!

Tys poświęconą jest arka przymierza
między dawnymi a nowymi laty,
do ciebie serce okrwawione wiodło,
za tobą tęsknił ból — — tys Polski godło.

I dla oręza tylko pocznie śpiewać
chwałę, w oręzu widząc zbawcę cierpień. Albowiem:

Kto mieczem walczył, ten od miecza
[ginie,
kto mieczem zginał, ten mieczem
[powstanie —
na dyplomowym śmierci pergaminie
Polsce wyrwie bagnet:
[zmartwychwstanie...
Chwyciłem ciebie w dłoni — w tobie się
[ninie
maluje ducha zew i serc błyskanie —
nie będę dłużej w ziemi rył się kretem — —
do słońca! grobu sklep przedrę
[bagnetem!

Pieśń Tetmajera pełna jest przytem wiary, że tylko pożarem lud „krew swych żył oczyścić” i „w pożarze tylko sam w siebie uwierzyć”.

„Cienie” Tetmajera krążą szlakiem żołnierza polskiego. Dreczą się troską o krew i śpiewają chwałę tej krwi. Bo „wolność kupiona krwią — dla duchów ciałem”.

Tomik tych nowych pieśni Tetmajera wskazuje, że wre w nim nieustanna praca. Uczuciowość wrażliwa owija przeżycia polskie w płaszczy wymarzony hartownej woli. Do niej śle modły obecnie Tetmajer, bo „gdzie krwią bryznę, rodzi się wola, z której sam powstałem”. Ale zwidy męczą i dreczą tę wolę. Żołnierz z piersią rozpruta, jak krwawe widno, kładzie się całunem na myślach wszystkich i wyolbrzymia je w rapsod bólu. „Cienie” Tetmajera bólem tym dają upust i to jest może w nich nuta najmocniejsza. Tylko bowiem człowiek zbolący mógł zawołać: „Chrystusa swego widzę w nie-nawici” (Str. 72).

„Cienie” Tetmajera są dalszym etapem w drodze do żołnierstwa polskiego.

Kalendarz literacki.

P. Henryk Juskiewicz zdecydował się wznowić tradycję dawnych kalendarzy literackich, które były przecież swojego czasu u nas w modzie. W słowie wstępnym od wydawnictwa powiedziano: „Wydając tę książkę pod skromnym tytułem „Kalendarz literacki”, chcemy zapoczątkować stałe wydawnictwo, co rok dające przegląd ruchu literackiego w Polsce i za granicą oraz spraw, związanych z literaturą, ruchem wydawniczym i życiem artystycznym Warszawy”. W kalendarzu tym znalazły się utwory pp. Michała Karckiego, Z. Idzikowskiego, H. Juskiewicza, Z. Dębickiego, L. Choromańskiego, A. Słonczyńskiego, J. Ejsmonda, A. Oppmana, A. Nowaczyńskiego, K. Łozińskiej, E. Czekalskiego oraz Henryka Mintowta. Oprócz tego dano „ważniejsze wyjątki o prawie autorskiem”, „nagrody i stypendya dla literatów” i „Życie literackie Warszawy”. Kalendarz ten został wydany starannie i zapewne zdobędzie sobie liczne koła nabywców.

